

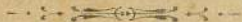
WYBÓR PISM

Maryi Konopnickiej.



POD PRAWEM

NOWELA.



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej”

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.



KON
PDD
290

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Марта 1899 года.

I

Strażnik drzwi zatrzasnął i klucz przekręcił w zamku.

Obejrzała się na lewo, obejrzała na prawo i sięgnęła ku twarzy grubą welnianą chustką, która jej okrywała głowę i ramiona.

Ulica była prawie pusta. Wróble tylko świergotały hałaśliwie pod gzymsami więziennego gmachu, zdala dolatywał huk ciężkich węglarskich wozów, a pies wartownika, chodzącego z karabinem i a ramieniu przed budką strażniczą, tarzał się w kurzu, ziewając i kłapiąc pyskiem.

Na odgłos zamykającej się furty, żołnierz odwrócił głowę, popatrzał na dziewczynę wyblakłemi oczyma i znów rozpoczął swoją wędrówkę, śpiewając zeicha i spluwając przez zęby.

Stara żydówka, siedząca wprost więzienia przy straganie, złożonym z miski kwaszonych ogórków i miarki pestek dyni, obliczała zarobki swoje, wygarniając zaśniedziałe miedziaki ze skórzanej, wiszą-

cej u pasa torby na wytłuszczony fartuch i mrugając szybko czerwonemi, ogłoconemi z rzęs powiekami.

Parno było. Sierpniowe słońce przypiekało mocno, jak to przed deszczem bywa. Dziewczyna zeszła z wolna po schodkach, zwróciła się na prawo, a uszedłszy kilkanaście kroków wzdłuż żółtego więziennego muru, stanęła i oparła się o niego plecami.

Nogi się pod nią trzęsły, powietrze ją odurzało. Od czasu ostatniego tyfusu miewała nagłe takie zawroty, od których jej w uszach dzwoniło, jakby na pacierze, a przed oczami robiło się czarno, jak w najczarniejszą noc.

Chwilę tak stała, kiedy lufcik kancelaryjny otworzył się z brzękiem, a w nim ukazała się kwitnąca, okolona pięknym zarostem twarz pana nadzorcy:

— Hanka! Hanka! Błacharżówna! — zawołał dźwięcznym głosem.

Dziewczyna odwróciła głowę, a w ruchu tym spadła jej wielka owa chustka, odkrywając przerzedzone włosy ciemne i twarz szczupłą, znędzniałą.

— A chodźno tu bliżej! — przemówił życzliwie pan nadzorca.

Schylła się, podjęła z ziemi upuszczone pod murem zawiniątko i podeszła w milczeniu do okna.

— W Sękocinach dziś staniesz, a może i w Tarcynie, a jutro na południe żebyś mi w Grójcu była. Księżyc teraz, mozesz nocą iść.

— Pójdę, proszę wielmożnego.... — przemówiła dziewczyna.

— A nie bałamuć mi się gdzie po drodze, niech cię Bóg broni, pamiętaj! Prosto mi do magistratu ru-

szaj i melduj się „w pobyt.“ Do Grójca cię posyłam bo tam najwięcej pobytowych, raźniej ci będzie.

— Dziękuję, wielmożny panie...

— A kartki do magistratu nie zgub. Panu burmistrzowi ją oddasz, albo panu sekretarzowi, wszystko jedno. Dadzą ci tam „rozpiszę“, papiery twoje już poszły. Nie ślę cię z partją, boś się sprawowała dobrze. No, i ta noga zresztą... Jakże? boli jeszcze?

— Ii... niebardzo, proszę wielmożnego — odpowiedziała dziewczyna.

Noga wprawdzie bolała ją tak, jakby kto świecami piekł, ale nie wiedziała, czy jej to powiedzieć wypada.

— No, kiedy tak, to ruszajże z Bogiem! — dorzucił pan radca łaskawie i cofnął z okienka głowę.

Dziewczyna przysiadła na ziemi; wyjęła z zawiniątka starą chuścinę, w której rogu zawiązana była owa kartka do magistratu, i wsunęła ją głęboko w zanadrze, odsłaniając pierś drobną, szczupłą, i grubą niedobieloną koszulę.

Podniosła się potem, spojrzała z niepokojem na słońce, jakby miarkując, ile jej czasu do wieczora zostało, i zaczęła przed siebie iść, zwolna zrazu, potem coraz szybciej, w miarę jak nogi jej, nawykłe do powolnych i ograniczonych ruchów, prostowały się i odzyskiwały sprężystość na swobodnej przestrzeni.

Odzienie jej było nędzne. Jakaś wyblakła, nieokreślonej barwy, wystrzępiona miejscami u dołu spódnica zwieszała się z jej wąskich bioder; fartuch miał po sobie różnobarwne łatki; szczupłe jej ręce gubiły się w rękawach zbyt wielkiego na nią, mocno wyszarzanego kaftana; bosa nogi, z których jedna przewią-

zana była powyżej kostki grubą płócienną szmatką, tkwiły w niskich cizmach; wielka wreszcie owa chustka zdawała się ciężarem swoim całą jej postać przygniatać do ziemi.

Ulica, którą szła Blacharżówna, rozciągała się na wschód i zachód miasta, długą perspektywą domów i domków. Odległa od większych arteryi ruchu, chwilowo tylko huczała dalekimi odgłosami przecznice, nateżając swoje łoskoty stopniowo i stopniowo gubiąc je w oddali. Jedyne turkot, jaki się tu często słyszeć dawał, sprawiały wózki z lichym owocem, ciągnięte na szlajach przez ubogich handlarzy w brudnych chałatach i okrzykiwane wrzaskliwie przez idącego obok pomocnika. Jeżeli się zaś ukazała dorożka, wszyscy już naprzód wiedzieli, że stanie przed gmachem więziennym. Gmach ten stanowił istotnie główny punkt ulicy, a żółte jego mury rzuciły na nią cień jakiś posępny. Idąca śpiesznie dziewczyna zdawała się unosić coś z tego cienia na swojej pochylonej, okrytej grubą chustką głowie. Idzie, nie podnosząc oczu od szarych brukowych kamieni, do których sama w jakiś nieokreślony sposób zdaje się być podobną. Na zachód idzie, wprost słońca, a chociaż skwar mocno przypieka, ona raz po raz sięga ku twarzy swojej grubą chustkę, jakby pod nią zniknąć chciała. Przebiegający mimo chłopak rzeźniczy szturgnął ją kuliakiem pod zebro; nie spojrzała nawet na niego, jakby to było rzeczą całkiem naturalną.

Idzie i medytuje...

...Oj więzienie, więzienie, ludzkie odmienienie!... Kiedy ją brali, zabijać się chciała, głodziła się, o mur głową tłukła. Teraz, jakby się w niej co przemieniło,

ni ona żalu, ni ona radości, ot jak ten kamień w polu. ...Trzy lata, całuskie trzy lata... Właśnie jakby jej kto u Pana Boga wytrącił...

Oj głupia, głupia, na co jej to było? Nie mogła to, jak inne dziewczęta, uczciwie służyć? Nie mogła to między ludźmi bez zaproszenia oczów, śmiało w przeciwności chodzić? A ot w jaką się oblokła koszulę! Psiby na nią wyli, żeby ją poculi. Ojcowieby się w grobie przewrócili, żeby wiedzieli, po jakich to ona sądach, po jakich urzędach oczami świeciła...

Oj, najadła się wstydu, najadła, jako piotunu, ziela gorzkiego...

Oj głupia, głupia, głupia...

Wzdycha jakimś ciężkiem, do jęku podobnem westchnieniem i, nie zwalniając kroku, kiwa głową, jakby w wielkiem politowaniu nad sobą i głupotą swoją. Naraz lekka czerwoność występuje na jej twarz szczupłą i śniadą.

...Pietrek... Gdzie się też teraz Pietrek obraca? Albo się z rudą Baską ożenił, albo ze wszystkiem na pana wyszedł. Czy tak czy owak, już on dla niej stracony. Jako ten wiatr, co przewieje, — jako ta woda, co przepłynie, taki on dla niej stracony.

Chłopak był jak malowanie. W paltocie chodził, papierosy palił, ręce w kieszeniach trzymał, kamusze szpicami wystawiał, jak urzędnik jaki. Albo mu to i urząd dziwota? Pisarzem w gminie — powiada — był, we dworze do stołu siadał, tylko że go potem przez złość wygonili. Kiedy do niej zaczął chodzić, dziewczęta z całej kamienicy zazdrościły jej takiego kawalera. A on się tylko uśmiechał i wąsiki kręcił. — Będę się z tobą żenił, Hanuś — mówi, — boś mi się

okrutnie spodobała — mówi. A ona jemu: Gdzieby się zaś pan Piotr ze mną żenił, kiedy ja biedna dziewczyna. — A on znowu: Co tam, biedna, nie biedna, to jeszcze niewiadomo. Jak w głowie rozum jest, to i pieniądze się znajdują. W rękach chleb, u ludzi pieniądze...

Oj polubiła go, polubiła! Na śmierć polubiła. A żeby on nie klucza od pokojów chciał, ale życia od niej chciał, toby mu je dała. Tak go polubiła!

Jakoś się to już przez kwartał ciągnęło, aż tu raz państwo do teatru jadą, a mój Pietrek do niej. — Będę się z tobą żenił, Hanuś, jeno mi w tem dopomóż. Jak mi nie dopomożesz, tak idę do Baški. — A Baška służyła w trzeciej kamienicy. Co się nie naprosiła, co się nie naperswadowała, a on nie i nie. — Albo ty mi dopomóż, albo mi Baška dopomoże. Dasz klucz — będę się żenił, nie dasz klucza — do Baški idę.

Aż też i dała. Jak dała, tak mój Pietrek do pokojów, a ona ze schodów i w bramę. Nie mogła w kuchni usiedzieć. Stała w bramie i patrzy, czy państwo nie wracają, a tu ją febra tak trzęsie, że ząb zęba nie dostaje. Wyszła stróżka, zagadała, a ta ani rusz, tylko językiem zeschniętym w gębie obraca, a w piersiach jej serce młotem wali, a zimno i gorąco po niej chodzi, a wszystko w niej dygocze, aż się o bramę oprzeć musiała, żeby ją z nóg nie zważyło.

Niedługo czekający, patrzy, aż tu Pietrek idzie. Futro na nim pańskie, głowa do góry, kapelusz na bakier, cygaro w zębach, ręce w kieszeniach — pan a pan. Tylko mu z pod futra coś sterczy u lewego boku. Zmrok już był, ale zaraz poznała, że szkatułkę niesie. Klasnęła w ręce — Pietrek... Pietrek... — mówi.

A on nie. Idzie sobie z paradą, jakby jej nie widział. Uczepiła mu się rękawa, otrząsnął się tylko. Aż tu brzdęk, wyleciała mu srebrna łyżeczka z zanadrsa. Schyliła się po nią.— Bój się Boga, Pietrek—mówi,— to ty i srebro?...—A on do niej: poszła won!—i ruszył naprzód, zębami tylko zgrzytnąwszy.

Zapomniała o domu, zapomniała o państwie, i poleciała za nim, jakby opętana, przez jedną ulicę, przez drugą, aż go dopadła pod ostatnią latarnią, kiedy szkatułkę pod prawą pachę przekładał. Bez pamięci była, bez tchu, w uszach jej wiatr świszczął, w gardle zaschło, chciała krzyżeć: łapaj, trzymaj! — ale jej język jakby kołem stanął. Jak go dopadła, tak się o latarnię oparła, przełknęła ślinę i mówi: Pietrek, co ty? To ty tak beze mnie wędrujesz? — A on: Poszła, złodziejko! — I jak stał, tak się odwrócił. Zatamała ręce.

— To to ja złodziejka?—mówi.—A on: Nie ten złodziej co kradnie, ale ten, co złodzieja puszcza.— Tak ona do niego:

— Bój się Boga, Pietrek!—mówi.— Co ty gadasz? Co w ciebie wstąpiło? A przecie się żenić mamy! Pietrek! — I nuż go się czepiać i nuż lamentować. A on: Poszła nazad, suko! — Jak też nie zaklnie, jak ją nie pchnie w piersi kulakiem, tak ją zaraz zamroczyło i na ziemię padła.

Jak się podniosła, jak dowlokła do domu, nie wie sama. Chciała zrazu uciekać, ale tak się jej zdawało, że się świat skończył za tą latarnią, gdzie ją Pietrek pchnął, i że już biec nie ma gdzie. Została. Wracają państwo, rwetes, krzyk... futra niema, srebra niema, pieniędzy niema. Trzęsą, szukają, aż znajdując

u niej oną lyczeczkę w kieszeni, co ją za Pietrkiem podniosła. Jak też znaleźli, tak zaraz na nią zakrzyknęli i do sądu ją oddali. Oj, co się ona napłakała, co się napłakała! A przecie nie wydała Pietrka. Takie w niej było dla niego kochanie. Trzy lata przesiedziała w więzieniu, a on się ani słoweczkiem do niej nie ozwał, ani co przez ludzi nakazał... Zupełnie, jakby nie żyła. Co ją nie namęczyli, co ją nie naturbowali! Gdzie pieniądze i gdzie pieniędzy! A ona, jak ten pień przed nimi. Co sobie wspomni, jak ją pchnął, jak na nią „poszła, suko“ krzyknął, to ją ledwie krew nie zaleje i wewnątrzności się w niej przewracają, tak, że inoby zaraz wszystko powiedział... »

Aż on znów przed nią jak żywy stoi, ręce składa, i tak jakby go słyszała: Hanuś — mówi, — żenić się z tobą będę — mówi, i inne słoweczka łagodne, jakby z pod serca wybrane. I taka ją wnet żalność zdejmuję, że tylko w ziemię patrzy i nie nie gada... A tu ją po urzędach opisują, po śledztwach włączają, z więzienia do więzienia ciągną, duszęby z niej wypruli, żeby mogli...

Aż i wysiedziała swój termin.

— Oj Pietrek, Pietrek! Oj nauczył on ją na całe życie rozumu, nauczył!

Zaciska kurczewo splecione ręce, aż jej w stawach trzeszczy, i podnosi ku zniżającemu się słońcu stroskane, głęboką obwódką podkrążone oczy.

Niech mu Bóg nie pamięta, ale ją równo skrzywdził, równo ją skrzywdził...

I z tą myślą o krzywdzie naciąga swoją chustkę

głębiej jeszcze, wzdycha ciężko i, nie zważając na chorą nogę, zaczyna iść bardzo szybko.

W miarę jak idzie, wielkich kamienie coraz mniej, niskich domostw coraz więcej i coraz brudniejsze szynki. Tu i owdzie bawią się gromadki zasmołonych dzieci. Hanka patrzy na nie, przechodzi, odwraca głowę i, nie wiedząc sama co robi, uśmiecha się do nich. Jest to jej pierwszy uśmiech od lat trzech. W więzieniu śmiech słychać często: wyuzdany, szyderczy, idyotyczny, wstrętny, rozlega się on codziennie w izbach i po kurytarzach. Ale uśmiech jest rzeczą rzadką, niewidywaną prawie. Zapominają go nawet dzieci przy piersiach matek w siwych więziennych kubrakach, nawet umarli nie mają go na twarzy. Dzieci budzą się i zasypiają posępne, przerażone, odęte; umarli odchodzą groźni, mściwi.

Hanka spogląda na słońce i przyspiesza kroku.

Teraz po obu stronach ulicy widać już tylko parkany pobielone wapnem, wkrótce i one znikają, przyległe zaułki rozbiegają się w szeroko rozgrodzone przestrzenie, a choć bruk się kończy, podmiejskie szynki, garkuchnie i bawarye, coraz tylko niechlujniejsze, dotrzymują placu.

Do jednej z bawaryi takich zbliżała się właśnie Blacharzówna, kiedy oszklone do połowy drzwi otwały się z trzaskiem, a z wnętrza jej wypadły dwie czerwone baby, tarmosząc na sobie chustki, do oczu sobie skacząc i zagłuszając wrzaskiem piskliwą katarynkę, na której przed bawaryą grał czarniawy żydek, nasunąwszy czapkę na tył głowy i szeroko rozstawiwszy nogi. Za babami buchnął z wnętrza śmiech i gwar pijanych głosów, a we drzwi tłoczyła się

kupka mężczyzn, widowisko sobie czyniących z owej zaciętości babskiej.

Już od słów przechodziło do pięści, a kataryniarz coraz piskliwsze z instrumentu swego wydobywał tony, kiedy z szynkowej izby wybiegła młoda, przystojna dziewczyna, dziecko jeszcze prawie, i podgiąwszy wysoko spódnicę, zaczęła tańczyć przed kataryniarzem. Ciężki jej, jasny warkocz rozplótł się do połowy i opadł, głowa się chwiała z ramienia na ramię, ledwie zapięty stanik odsłaniał gibką szyję. Nie była widać zupełnie trzeźwa, bo oczy mgłą jej zasłży, a splątany język nie domawiał wyrazów brudnej ulicznej piosenki, którą sobie do tańca wtórzyła.

Kupka dzieci obstała tancerkę i katarynkę. Hanka przystanęła za nimi i patrzyła na dziewczynę z dziwem. Poznała ją. Była to Mańka Czerkas, przed rokiem wypuszczona z więzienia, która też swego czasu z partią do Grójca wysłana została. Ale już i uliczna Herodyada spostrzegła Hankę, stanęła, przytomniej jakoś spojrzała i poleciała do niej, roztrącając dzieci i zataczając się po drodze.

Blacharżówna odwróciła głowę, chciała odejść. Ale napół pijana dziewczyna już jej leżała na szyi i ścisnąć ją zaczęła.

— Hanko! jak Bożę kocham, Hanko! Gdzie ty wędrujesz? Dawno cię puścili?... Dawajże gęby, dziewczyno! A tośmy się zeszli!

Hanka odstąpiła krokiem.

— Bój się Boga, Mańka! To ty nie w Grójcu?

— A cóż to ja głupia w Grójcu siedzieć, czy co? — krzyknęła dziewczyna. — Psom ogony lepiej wiązać, niż w takim Grójcu siedzieć!

— Toś ty tam nie była?

— Co nie miałam być? Byłam. Przecie mnie z partą pognali. Dwa dni byłam i trzeciego pół. A potem my się wszystkie zabrały i poszły: Józefa poszła, ja, Kwiatosińska poszła, Julka Mikusówna... Same się chłopcy zostały. Tylko mój Antek z nami drapnął.—Wybuchnęła szalonym śmiechem.—Czysta komedya!—zawołała po chwili.—Z taką ci nas paradą prowadzili, że to cha! Myślałam, że nam luminacyę zrobią. A tu ci jeszcze strażniki wiechci z butów nie powyjmowali, a my już im drapli. A co by tam człowiek robił? To i ty w pobyt? — zagadnęła Mańka.

— A w pobyt...

— A dużo ci wsadzili?

— Oj wsadzili mi, wsadzili... A że trzy lata.

— Fiuuu!... — gwizdnęła Mańka, — to ty tam burmistrzową zostaniesz!—i zaczęła się śmiać niepo-hamowanie, po bokach się rękami biła, głowę w tył przechylała, pokazując gardło białe, wzdęte i drga-jące. Śmiech ten był zaraźliwy, bo stojące nieopodal dzieciaki, same nie wiedząc czego, wybuchnęły także cienkim, piskliwym śmiechem. Mańka zwróciła się ku nim.

— Ciszej, pędraki!—tuknęła, tupnąwszy nogą. Dzieciaki zaczęły przedrzeźniać ją, skacząc i wykrzywiając się, jak małpięta.

— Cóż ty?—zagadnęła Hanka,—u Pazderskich znów siedzisz?

— Ja, u Pazderskich? Przechęgnajże się lewą ręką, dziewczucho! A cóż jabym u Pazderskich robiła? Stara użera się od rana do nocy, czeladzie porozpę-

dzali, same chłopaki, sama koprowina, co jeszcze w zębach koszule nosi. Co jabym tam robiła? A choćbym też do nich chciała, jak nie chcę, to mnie przecie bez meldunku trzymać nie będą.

— No, a gdzież się obracasz?

— A teć widzisz. W szynku się obracam, kiedy grają! — parsknęła znów Mańka szalonym śmiechem.

I ujęła się pod boki, jakby tuż zaraz w taniec puścić się miała.

Blacharzówna kiwała głową, patrząc na nią smutnie.

— Oj Mańka, Mańka! Aż po mnie ciarki chodzą od twojego śmiechu.

Mańka rzuciła ramionami.

— Cóż ty, głupia, chcesz, żebym płakała czy co?

— Juścić tu chyba ciągle nie siedzisz? — zagadnęła.

— Co mam siedzieć? U Bamblowej siedzę. Bamblowa mnie bez meldunku trzyma, to i siedzę. Dziś się babie wyrwałam do Antka, to aż tu przygnała za mną, jęcza. O, patrzaj ino, jakie ci to piekło robi z tą drugą o Józefę...

Blacharzówna klasnęła w ręce; śniada jej twarz nagle czerwienią zaszła.

— Bój się Boga, Mańka! To ty u Bamblowej siedzisz? A dyć to ciężki grzech i wstyd...

— No, to co mam robić? Iść do Wisły, utopić się, czy co? — Poczerwieniła, rozśmiała się i nagle wybuchnęła gwałtownym płaczem.

W tej chwili właśnie jedna z klóących się bab skoczyła do niej, chwyciła ją za ramię i wrzasnęła ochrypłym głosem:

Nr — Nie balamucić! Nie balamucić! Dosyć tego dobrego na dziś!

Mańka się zaperzyła. W jednej chwili ły jej odeschły, oczy błysnęły gniewem.

Co mnie tu Bamblowa będzie szarpać? Cóż to ja sługa Bamblowej, czy co? Jak mi się spodoba, to pójdę, a jak mi się nie spodoba, to nie pójdę! Rozumie Bamblowa?

Baba nie puszczała jej ramienia.

— Dalej, dalej! Nie balamucić! Do domu, do domu!

— Puszczaj Bamblowa! — wrzasnęła dziewczyna.

— Bamblowa, Bamblowa! — powtórzyła baba — a żeby nie Bamblowa, toby się między złodziejami siedziało.

— Owa! — krzyknęła zuchwale Mańka. — A u Bamblowej to między lepszymi siedzę? Jak się rozgniewam, tak wszystko do dyabła rzucę i z Hanką do Grójca pójdę. Ma być pobyt, niech będzie pobyt.

Baba ciekawie nadstawiła uszu.

— To panna w pobyt?

Hanka kiwnęła głową i mimowolnym ruchem naciągnęła głębiej chustkę.

— I panna idzie? — badała dalej baba.

Hanka znów kiwnęła głową.

— Zostań z Bogiem, Mańka! — rzekła i zabierała się odejść.

Ale Bamblowa już się jej za rękaw uczepiła, puściwszy ramię Mańki.

— A to ja pannie powiem — rzekła, bystrem okiem obrzuciwszy dziewczynę — że panna głupstwo robi. To nie dla panny chleb. Co która porządniej-

sza dziewczyna tam była, to się zaraz wróciła. Kwiatosińska też u mnie siedzi, i Mikusówna siedzi. A co mają robić? Trzeba żyć, moja panno, trzeba żyć.

— Bądź zdrowa, Mańka! — przemówiła Blacharzówna, nie odpowiadając babie, i zawróciła się od niej.

Ale Bambłowa zastąpiła jej drogę.

— Ja pannie co powiem — rzekła, opierając jej rękę na piersiach. — Panna jest teraz taka zmizerowana, jak ta kość, co ją psy ogryzą. Ale ja będę ryzykować. Panna możesz u mnie bez meldunku siedzieć, jeść dostaniesz...

Patrzyła chwilę badawczo na spuszczone oczy dziewczyny, a widząc, że się nie odzywa:

— Niech tam! — krzyknęła, uderzając pięść o pięść. — Niech będzie moja krzywdą! Oporządzenie nawet dam. Niech będzie moje ryzyko!

Mańka przysunęła się bliżej.

— Abo się zostań, Hanka, abo co...

Hanka próbowała się wyrwać. Bambłowa przytrzymała ją za chustkę.

— Moja panno, niech panna nie grymasi... Boga nie obrażać, kiedy się pannie taka okazyja szykuje. A cóż to, pierwsza panna będzie, czy co? Nie takie poszły na lekki chleb, a korona z głowy im nie spadła. Niech ino panna Boga nie obraża, niech się panna namyśli...

— Puszczajcie! — przemówiła stłumionym z gniewu głosem Hanka.

— Tak panna nie chce?

— Nie!

— A to ruszaj do kaduka! — wrzasnęła Bambłowa. — Jeszcze ty przyjdiesz na moje podwórko! Patrz-

cie, jaka mi grafini! We więzieniu siedziała, złodziejka, a pyszni się, jakby Bóg wie co... Mańka! a pódziesz ty dziś do domu, czy nie, ładaco!

— Nie wrzeszczyć ino, nie wrzeszczyć — odrzekła Mańka — kiedy niema czego. Idź z Bogiem, i Mańka! — zawołała za odchodzącą. — A jak będziesz uciekać, to ino do nas, pamiętaj!

I nagle chwycił ją dawny szal, podparła się w boki i zaczęła śpiewać, śmiejąc się jak opętana. Dzieciaki zawtórowały jej wrzaskliwym chórem, kataryniarz coraz szybciej kręcił piszczącą korbą, jeden z pijących w szynkowni mężczyzn wybiegł i chwycił do tańca szaloną dziewczynę. Bamblowa, w przekreconym czepcu na głowie, klaskała im w ręce, przysiadając niemal do ziemi.

Hanka oddalała się szybko. Zrazu goniły ją tuż-tuż krzyki owe, śmiechy i klaskania, potem echa ich tylko coraz dalsze, coraz słabsze, wreszcie ucichło wszystko.

Była już w polu. Wszedł księżyc i osrebrzył szerokie przestrzenie, drzewa przydrożne zaczęły szumieć drobnym liściem, gdzieś tam błyskiwały gwiazdy sine. Tu i owdzie migotały oddalone światła, tu i owdzie załopotały skrzydła spłoszonego ptaka, to pies szczekał, to koń kędyś zarżał. Dziewczyna szła, nie spoczywając, i choć zmęczona była, przyspieszała krok, jakby uciekając przed niewidzialną jakąś pogonią. Nareszcie uciszyło się wszystko, ostatnie światła pogasły, a ziemia zasnęła świeżością i rosą.

Dziewczyna stanęła i podniosła głowę. Chustka z niej opadła, księżyc obieleł jej twarz znędzniałą. Stała tak chwilę i poruszała wargami bez głosu. Westchnęła potem, spuściła głowę, naciągnęła chustkę i wolniej iść zaczęła. Wkrótce postać jej rozplynęła się w cieniu...

II.

Urzędowe czynności magistrackiej kancelaryi w G. były już w pełnym biegu, kiedy Hanka Blacharzówna stanęła w jej progu.

U drzwi szwargotało półgłosem kilku żydków, przeciągając raz po raz w różnych kierunkach grzbieity, brudnymi chałatami okryte, jakby dla ulżenia sobie w jakiejś tajemnej dolegliwości; dalej stał chłop zafrasowany, wzdychający, w parciauce samodziółowej, z wysokiem biczyskiem w jednej garści, a z czapką półtoraczną w drugiej; jeszcze dalej na pół pijana baba, z różą na twarzy, szturchała zmizerowanego wyrostka, który stał przed nią, jakby do płaczu skrzywiony; w głębi zaś, tworząc tło urzędowe tego obrazu, drzemał na ławie pod piecem strażnik, kiwający się w tył i naprzód, wydający od czasu do czasu silne, urwane chrapnięcia.

Przy głównej ścianie kancelaryi stał długi, po-

kryty zielonem suknem stół, przy którym pan burmistrz przeglądał świeżą gazetę, bębniąc zlekka po stole palcami pulchnej, białej ręki i nucąc przez zęby jakąś popularną aryjkę.

W samym środku kancelaryi, twarzą do zwierzechnika zwrócony, przestępował z nogi na nogę Maczuski, woźny magistratu, wysoki, chudy, pałakowaty, który ze swoją wyciągniętą szyją i mocno wytrzeszczonemi oczyma zdawał się wylazić nietylko z munduru, ale z własnej skóry. Jego niezmiernie długie ręce przylegały ściśle po obu stronach kościstych bioder, wzdłuż dolnych kończyn, w sposób, który Maczuski wojskowym nazywał, a który, udoskonalając stopniowo, do takiego doprowadził mistrzostwa, że kiedy stanął w pełnem urzędowem umundurowaniu, zdawał się mieć wszystkie pozory skrzywionego nieco słupa telegraficznego. Przy swojej wiórowatej chudości, Maczuski wielkim był cholerykiem, w powadze służby nad wszystko zamiłowanym, a liberalnych momentów pana radcy nigdy nie pochwalał. Dość było i w tej chwili spojrzeć na jego dropiate od śpi oblicze, aby odgadnąć, że się w nim aż coś gotuje z powodu owej aryjki zwierzechnika, profanującej oficjalny charakter miejsca, gdzie wszystko sztywne być powinno. Niestety, przez szesnaście lat swojego woźniestwa w G. stary służbista niejednokrotnie miał sposobność przekonać się, że wiele rzeczy szwam“ tu nie było. Bolał nad tem, jakby nad osobistą krzywdą i obrazą. Ideałem jego był naczelnik milezący, nieugięty, srogi i zawsze—w nocy nawet—zapięty na wszystkie guziki. Pan burmistrz zapiętym na wszystkie guziki nie bywał nawet we dnie,

żydków po ramieniu klepał, w gawędy z byle kim się wdawał, jego samego nieraz za pan brat tabaką częstował; słowem, daleki był, bardzo daleki od ideału. Czuł Maczuski, że mu to życie skraca, i co kwartał krew sobie puszczać dawał, żeby go zoić w kancelaryi nie załaza—jak mówił.

Z kwadrans już stała Blacharżówna u progu, kiedy pan burmistrz gazetę złożył, ręce zatarł, brwi podniósł, na papiery nagromadzone przed sobą spojrział, ziewnął i co rychlej się od nich odwrócił, oczyma po zebranej u drzwi gromadce powiódł, a zatrzymawszy spojrzenie na Hance, zapytał nagle:

— A co to?

— W pobyt — pośpieszył „dołożyć“ od siebie Maczuski.

— Taaak?... — zapytał przeciągle pan burmistrz.

— A, to co innego.

Właściwie mówiąc, nie było to nic innego, bo co tydzień w pobyt przypędzano partyę; ale zdawało mu się, że przez powiedzenie takie urozmaici sobie nieco wypadki codziennego życia.

— Rozpiska jest?

Dziewczyna wystąpiła z gromadki, podeszła do stołu, pocałowała burmistrzowską rękę i podała kartkę w milczeniu.

— Hm! — mruknął, czytając i patrząc kolejno to w papier, to na dziewczynę — hm!... Trzy lata... hm!... Łatwo powiedzieć... hm... Co oni sobie w tej Warszawie myślą?...

Zamyślił się i zaczął skubać faworyty, okalające jego podbródek.

— Ano, to i dobrze! — dokończył po chwili.

Pan burmistrz optymistą był z natury i wszystko lubił kończyć dobrze.

Tym razem wszakże słowa zdawały się iść swoją drogą, a myśli swoją.

Zadumał się, miał kłopoty. W mieście nagromadziło się tyle pobytowych, że była to jakby kolonia złodziejska, nad którą władza wymykała mu się z ręki. Co wieczór awantury, co nocy kradzieże, pod miastem rabunki. Straż ziemską, z Fedorenką na czele, rady sobie dać nie może. Całe szczęście, że tałajstwo to napowrót do Warszawy ucieka...

Popatrzył na Hankę z pod oka, jakby miarkując, czy i ona drapnie — pobębnił palcami po stole, parę razy jeszcze chrząknął, wreszcie, wygiąwszy się w kierunku drugiego pokoju, zawołał:

— Panie Aleksandrze! Panie Kosicki!

We drzwiach przeciwniejących wchodowi stanął niski, szczupły blondynek, z grubym, zadartym nosem i wzgardliwie wydętymi wargami. W krótko przystrzyżonej, szczeciniastej jego czuprynie błękitniał jeszcze świeżo z ust wydmuchany kłęb dymu, w spuszczonej ręce trzymał tłące się cygaro.

Był to pan Aleksander Kosicki, sekretarz biura.

— A?...—odezwał się głosem skrzypiącym, jak nienasmarowane osie.

— Mój panie Aleksandrze — przemówił żywo burmistrz—przejrzyj pan tam papiery Blacharżówny, muszą gdzieś leżeć u pana. Rozpiszę trzeba jej dać...

— W pobyt? A?...—zaskrzypiał znów pan sekretarz.

— W pobyt, wielmożny panie — odpowiedziała Hanka, podchodząc, aby go pocałować w rękę. Ale pan sekretarz ręce schował za siebie. Z wielkim bowiem taktem uważał on przyjmowanie takich holdów za mniej właściwe w obecności zwierzchnika, który był radcą kolegialnym.

Sam przecież do biurka swego nie wracał, ale jak wypowiedział owo „a?..“ tak stał z otwartymi ustami i oczu nie zdejmował ze schylonej przed sobą dziewczyny. A ciekawa to była para oczu w tej bladej i jakby chorowicie obrzękłej twarzy pana sekretarza. Jakieś to zielonawe, to czerwone błyski zapalały się w nich i gasły; a on, jakby wiedząc o tem, a nie chcąc ludziom pokazać, nakrywał je ciężkimi, lekko zaognionymi powiekami, z pomiędzy rzęs tylko puszczał zmrużone spojrzenia. Postawszy tedy dłuższą chwilę, skinął głową na Hankę, aby szła za nim, i cofnął się w sam środek tytuniowej chmury, która nad biurkiem jego w powietrzu wisiała.

Tu chwycił szybko jeden plik papierów, odrzucił go, chwycił drugi, potem trzeci, a podczas szukania właściwego foliału ręce mu drgały chwilami, jakby szarpane za ścięgna. Znalazł nareszcie czego szukał, oparł się ciężko o stół, jakby w chwilowej niemocy, zmrużył oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

Hanka pilnie w twarz mu patrzyła, chcąc z niej wyczytać, co czynić ma lub mówić.

Pan sekretarz przystąpił bardzo blisko do dziewczyny, mrużąc i rozszerzając naprzemian błyskotliwe oczy.

— Anna Blacharżówna?... A?...

— Tak, wielmożny panie — odpowiedziała Hanka.

— Ty w służbę myślisz?... A?...

— Bo ja wiem, wielmożny panie. Jaści w służbę.

— Hi... hi... hi...—zaśmiał się zeicha pan sekretarz.—Kto ciebie w służbę weźmie? Kto do domu puści? Z czerwonym paszportem... A?...

Hanka schyliła głowę i milczała. Wielka chustka rzucała głębokie cienie na jej twarz śniadą. Oczy miała spuszczone. Żrenice pana sekretarza strzeliły czerwonym blaskiem.

— Ot, jaby wziął... jaby puścił... ja...

Spazm mu jakiś przeleciał po twarzy, zacisnął ręce, nie skończył. Hanka podniosła głowę i spojrzała na niego stroskanym, trochę tępym wzrokiem. Niedobrze pojmowała, czy się lituje nad nią, czy też naprawdę w służbę chce wziąć.

Pan sekretarz zachłysnął się, wykręcił nagle do stołu, siadł przy nim i przez chwilę pisał. Wyciągnął potem rękę.

— Ot tobie rozpiska! Ty możesz teraz służby szukać. A melduj się, jak znajdziesz. A potem takż się melduj. Do mnie się melduj, rozumiesz?... a?...

— Rozumiem, wielmożny panie—odpowiedziała dziewczyna.

— A żeby ty nigdzie nie próbowała uciekać. Tobie tylko tu w mieście być... A?...

— W mieście, wielmożny panie.

— Ty idź, a w trzy dnia melduj się...

— Dobrze, wielmożny panie.

Schyliła mu się do kolan — odskoczył jak oparzony. Dziewczyna wyszła.

Była właśnie w połowie kancelaryi, zmierzając z powrotem ku drzwiom, kiedy ją spostrzegł i zatrzymał pan burmistrz, oblegany tymczasem przez kłaniających się co chwila i dyskretnie uśmiechniętych żydków, z pomiędzy których jeden wyluszczał interes, a reszta cmokała rozkosznie ustami, jakby dla tem większego zalecenia go „wielmożnemu prezydentowi.“ Niewiadomo, czy pan burmistrz potrzebował w tej chwili dywersyi dla własnych strategicznych planów, czy istotnie ta szczupła i śniada dziewczyna zwracała jego szczególną uwagę, dość, że, spostrzegłszy ją, głos podniósł i zawołał:

— Ty... jak ci tam?... Zaczekajno jeszcze!

Zatrwożyła się i stanęła.

— Maczusi! — kończył pan burmistrz, ku drzwiom się zwracając.

Ale Maczusi już od kilku minut był w położeniu okropnem. Mrugał więc coraz szybciej swemi wylupiasztemi oczyma, piersią podawszy się naprzód, jakby w oczekiwaniu rozkazu. Od progu jednak nie odstępował, nie mógł odstąpić — i to stanowiło tragiczność chwili. Oto ten nrwis Wicek, jego najmłodszy, aż tu za nim przyleciał i, wsunawszy się przez drzwi uchylone, pociągnął go z tyłu za poję.

— Ociec! Granula się ocieliła...

Maczusiemu krew uderzyła do głowy.

— Poszedł! — syknął przez zęby i machnął pięścią w tył, ryzykując gdzie trafi, to trafi. Ale widać nie trafił nigdzie, bo znów tuż za sobą usłyszał:

— Ociec... Ma byśka!

Maczusi posiniał z wściekłości, a wytrzeszczysz jeszcze mocniej oczy i dalej wyciągnawszy szy-

ję, dla odwrócenia uwagi urzędu od rodzinnego dramatu, który się za jego plecami rozgrywał, kopnął w tył nogą, na wpośrodek Wicka miarkując. Ale noga uderzyła w próżnię. Myślał, że go krew zaleje.

Ociec — prawil dalej chłopak, -- matka powiadają, co go będą chować.

— A bodajżeś zmarniał! — zaklął stłumionym szeptem tkliwy rodzic Wicka i wyciągnął poza siebie kurczowo rozczapierzoną, jak jastrzębie szpony, prawicę w celu pochwycenia czapryny Wickowej. Szczęśliwa jednak gwiazda małego hultaja ocaliła go i tym razem.

Chłopak był znowu tuż za nim.

— Je srokaty, i żeby ociec prędko szedł!

Tu Maczuski stracił resztę panowania nad sobą, a umocniwszy się na lewej nodze, wierzgnął z całej siły w tył prawą, w chwili właśnie, kiedy pan burmistrz zawezwał go przed siebie.

Nieszczęsny Wicek zanadto się widać podówczas zbliżył do ojcowskiej osoby, gdyż jednocześnie prawie z owem wezwaniem dało się słyszeć nieokreślone jakieś miauknięcie, potem uderzyło coś we drzwi jakby polanem, wreszcie dał się słyszeć szybki tupot bosych nóg poturbowanego posła, którego tym razem nie uchroniło żadne międzynarodowe prawo. Maczuski odetchnął głęboko, szurgnął parę razy butami, dla zatarcia ostatnich ech owego tupotu, i wystąpił przed zwierzchnika siny jeszcze z uprzedniej alteracji, ale już „po szwam,” w pełni swojej urzędowo-słupiaстей powagi.

— Gdzież się Maczuski, u licha, kryje? Co tam za hałasy?... Dowołać się nikogo nie można!.. — fuknął

gromko pan burmistrz, nietyle przeciw staremu Maczuskiemu gniewny, ile dla okazania energii swej żydkom, trzymającym go w pełnej słodkich pokus opresyi.

— Żadnego porządku w służbie!

Tu głos mu zwolniał nieco.

— Pokazać tam dziewczynę Fedorence, żeby wiedział... Tu paszport dla niej... A ty się nie wąż-saj, tylko służby szukaj... — zwrócił się do Hanki.

Nie skończył jeszcze, kiedy w sieniach zrobił się nagły tumult, a przez szeroko otwarte drzwi wto-czyła się pani kasyerowa. Czerwona była bardzo i sapała silniej niż zwykle.

— Dzień dobry prezydentowi! — zawołała krzy-kliwie od progu. — Prezydent wie, co się stało?

Pan burmistrz zerwał się ze swego fotelu, pod-stawił go pani kasyerowej i krzyknął nawzajem:

— Dzień dobry! dzień dobry! jakże zdrowie pani dobrodziejki?

Ale dama nie była w usposobieniu, potrzebnem do wymiany towarzyskich grzeczności. Padła więc tylko na fotel, wołając:

— To prezydent nie wie?.. Ta Kubisiakówna z Warszawy, ta pobytowa, co to była u mnie, wie prezydent, ta gruba uciekła dziś w nocy. I to, powiadam prezydentowi, zabrała Filipci spódnice z wszywkami, Józsi pończochy w paski i dwa prześcieradła. No i rób co chcesz. Szukaj wiatru w polu!

Pan burmistrz klasnął w ręce.

— Nie może być!

Dama się zaperzyła.

— Co to nie może być, kiedy jest! I żeby to jeszcze stare prześcieradło, ale nie, nowe, powiadam prezydentowi, od tuzina wzięte! A żeby ja!...

Pan burmistrz stał zafrasowany, drapiąc się w łysinę. Przez opuszczone jego wargi przesuwano się coś niezmiernie podobnego do „dyabli nadali!“ Żydki tymczasem zaszwargotały między sobą, a jeden z nich machnął ręką i roześmiał się zeicha.

Bystre oko pani kasyerowej gest ten dostrzegło.

— Cóż tam za chychy? — zapytała wyniosłe. — Taka strata, to nie żadne chychy.

Zapłoniła się na twarzy z oburzenia.

— A możeby pani dobrodziejka do mojej żony — pośpieszył z interwencją pan burmistrz.

— A dobrze, żeś mi prezydent przypomniał! — Właśnie to żona pańska namówiła mnie na tę złodziejkę. Co tam pani będzie hważała! mówi, pobyto-wa, nie pobytowa, każdej pilnować trzeba, mówi, a to się sponiewiera, jak nikt w służbę nie weźmie... Ot i masz.

Odsapnęła kilka razy silnie.

Burmistrz stał przed nią jak zak, mocno niekontent z siebie, że żonę tak nie w czas przypomniał.

Dama uderzyła ręką w boczną poręcz fotelu.

— A ja powiadam prezydentowi, że teraz w mieście nikt pobytowej do służby nie weźmie! Już się skończyło! Oho, prosto ztąd idę na pocztę i do doktorów idę przestrzedz, bo tam znów do prania te złodziejki biorą. Gotowa kradzież. I wszystkich przestrzegać będę. A i żona pańska niech się ma na ostrożności... Taka tania sługa, to jest droga sługa, bo sobie sama jak chce tak zapłaci...

— Zapewne, zapewne! — bąkał niewyraźnie pan burmistrz, coraz mocniej zażenowany.

— Więc jakże będzie z tą Kubisiakówną? — zapytała dama. — Bo już mniejsza o spódnice i pończochy, ale przecież prześcieradeł od tuzina tracić nie mogę. Radź prezydent, co robić, mój prezydentynie! Ja chętnie coś Fedorence od siebie dam, niech szuka, niech się dowiaduje...

— Ale owszem, owszem, pani dobrodziejko!

— I Staniewicz niech szuka...

— Będzie szukał. Wszyscy będą szukali! — mówił burmistrz, uszczęśliwiony, że dama już wstaje z fotelu. — To mój obowiązek, pani dobrodziejko! — dodał, odprowadzając ją do drzwi.

— I żeby się wszędzie dowiadawali o te prześcieradła.

— Ale owszem! Naturalnie! Zapewniam panią dobrodziejkę...

— I żonę niech prezydent przestrzeże!

— Naturalnie! naturalnie!

Rozstali się w ukłonach.

Całą tę rozmowę słuchała Hanka z głuchym jakimś niepokojem. Jak stanęła, tak stała, spuściwszy głowę i patrząc w sęczek, który się ciemniej rysował na żółtej kancelaryjnej podłodze. Chwilami zdawało jej się, że to ona ukradła spódnice z wszywkami i pończochy w paski. Oczy jej wtedy zaczynały biegać jak jaskółki, obracając się to na mówiącą panią, to na drzwi, którei wejść mogli Fedorenko i Staniewicz.

Jak wejda — niechybnie ją złapią.

Po chwili wszakże wracała jej rozważa. Ona

przecież nie ukradła spódnicy, ani pończoch, ani dwóch nowych prześcieradeł od tuzina.

Nie! nie! Ona wie dobrze, że tego nie ukradła. Mogą Fedorenko i Staniewicz szukać kolo niej wszędzie, jeśli chcą. Uspokajała się, oczy jej nieruchomiały i znów zatrzymywała je z jakąś głuchą troską na owym sęczku w podłodze. A sęczek zdawał się powiększać, poruszać i patrzył też na nią, jakby groźna, coraz ciemniejsza żrenica...

Jeszcze Blacharzówna ze schodków magistrackich nie zeszła, kiedy Wicek Maczuskiego, który tu znów z poselstwem jakimś z domu przyleciał i przeźorniej tym razem w podwórku się zatrzymawszy, zobaczył, jak „ocieć” dziewczynę Fedorence zdaje, krzyknął z wielką fantazją:

— Warszawska złodziejka! Warszawska złodziejka! Widzita warszawską złodziejkę!..

Po Hance ognie przeszły. Najadła się ona co prawda wstydu niemało przez one lata więzienia. Ale tamto było w sądzie, w urzędzie, w czterech ścianach, nie zaś tak na ulicy... Myślała, że ją kto nożem przebódi.

Tymczasem do pomysłowego Wicka przyłączyło się dwóch, czy trzech przyjaciół z przeciwną, którzy, nie mając jakoś na tę chwilę nic lepszego do roboty, zaczęli wyskakiwać po ulicy, wrzeszcząc na całe gardło:

— Warszawska złodziejka! Warszawska złodziejka!

— Ciszej, trutnie! — huknął zrazu Maczusi, odwróciwszy głowę.

Ale wnet potem zagadał się z flegmatycznym Fedorenką, który każde słowo z małoruska, jak smo-

ię, ciągnął, na pół drogi do nosa trzymając szczyptę tabaki, którą go woźny częstował.

Hance zdawało się, że to już tak musi zostać na zawsze.

Zmrużyła oczy i podniosła ramiona, jakby się chroniąc przed uderzeniem obucha. Śniada jej twarz jeszcze śniadszą zdawała się w tej chwili.

Tymczasem uderzyło południe, a z pobliskiej szkółki wysypał się drobiazg gwarliwy. Wnet zmiarkowawszy, w czem rzecz, chłopaki przyłączyły się wrzaskliwie do zaimprovizowanego przez Wicka chóru; dziewczęta też zatrzymały się nad brzegiem trotnaru i, otworzywszy usta, przypatrywały się Hance. Robiły nad nią uwagi, śmiały się i szturchały chudemi łokciami, spychając na ulicę.

Wśród śmiechów tych i tego wrzasku stała Hanka, skulona pod swoją wielką chustką. Coś w niej cierpło, kamieniało i chwilami zdawało jej się, że w ziemię wrasta. Chciała się poruszyć, ale jej nogi ciążyły jak kłody. Nie mogła zresztą odejść, czekała na swój czerwony paszport, który Maczuski z Fedorenką komentowali, porównywając go z rozpiską pana sekretarza.

Złożył wreszcie strażnik ów paszport, oddał go dziewczynie i skinął na nią, że odejść już może. Jak była skulona, tak odwróciła się i poszła pierwszą spotkaną uliczką. Wrzask dzieci leciał jeszcze za nią czas jakiś, słabnął potem coraz, aż wreszcie rozplynął się w cichem powietrzu. Ona jednak szła i szła, dopóki jej uliczka owa nie wyprowadziła na pole. Zadziwiła się wtedy i stanęła.

Gdzie idzie? Po co? Do kogo? — Nie wiedziała sama. Uszy miała pełne brzęku, głowę skolataną, ciężką.

Po chwili oprzytomniała jakoś.

W mieście jej trzeba zostać, do magistratu się zameldować w trzy dni i potem służby szukać... Scisnęła w rękę swój czerwony paszport. Kto ją weźmie z takim paszportem? Kto ją do domu puści? Do prania jej też nie wezmą, boby mogła ukraść spódnice z wszywkami i pończochy...

Tu myśli jej stanęły. Myślenie było dla niej wogóle pracą ciężką. Chwilę jeszcze majaczyły jej po głowie owe pończochy, potem przeciągnęła się pod swoją chustką i poczuła, że jest bardzo głodna.

Sięgnęła w zanadrze. Tam w szarej chusteczce nie miała jeszcze kilka trojaków. W więzieniu nie prawie nie zarobiła, chorowała, nie miała zdrowia. Choroba zjadła wszystko — i to, co na „wydział“ szło, i to, co do „książki.“ Cztery złote dał jej „wielmożny,“ kiedy ją puścili. Niech mu tam Bóg odpłaci.

Obejrzała się, nie było nikogo. Wyjęła parę miedziaków, zawiązała paszport i zwolna wróciła do miasta.

— Moja pani — odezwiała się nieśmiało, zatrzymując się przy pierwszym straganie, na którym kupiła kilka bułek od tłustej przekupki, — moja pani, czyby mi też pani nie doradziła jakiej służby?

— Czemu nie, moja panno! Służba się zawsze znajdzie. Co to, panna po chorobie, czy co? Nietutejsza może?

— Nietutejsza...

— A z kąże panna?

— Ja... ja z Warszawy.

Straganiarka wychyliła głowę ze swojej budki i baczniej na dziewczynę spojrzała.

— Coś strasznie koło panny mizernie. A cóż panna potrafi?

— Ugotować potrafię, uprać...

— Co to tu panna „famielię” ma, czy co?

Siwe oczy straganiarki podejrzliwie spojrzały na dziewczynę.

— A może... bo to niewiadomo, moja panno, a strzeżonego Pan Bóg strzeże... może panna w „pobyt?”

Hanka schyliła głowę.

— Eee, moja panno, kiedy tak, to po co ludziom głowę zawracać? Ja samabym wzięła porządną dziewczuchę i robotaby się dla niej znalazła, bo to ziemi nie przekopie, a roboty nie przerobi, ale musiałabym źle w głowie mieć, żeby zaś brać pobytówkę... W imię Ojca i Syna! A to się panna wybrała! Cóż to panna myśli, że u mnie w stancyi cztery gołe kąty, czy co, żebym zaś złodzieja do domu puszczała? Moja panno, u mnie jest pościel na cztery łóżka, poduszki takie, że to po trzy ruble jedna, u mnie są rondle, u mnie jest wszelaki porządek, wszelaka domowizna. To ja, moja panno, lada obieżyswiata nie mogę do domu puszczać, ja muszę mieć dziewczynę, co się nazywa, akuratną, znającą między ludźmi. Tak, moja panno. Kiepskość się panna wybrała. Tu pobytówek, jak tych psów, się kręci, a kto ich weźmie do służby? Żad nawet nie weźmie, choćby za pół darmo. Każdy się, moja panno, strzeże, jak może, bo domowego złodzieja nikt nie upilnuje...

Hanka zwróciła się w milczeniu. Jakoś ją nagle ochota do jada odeszła. Tymczasem straganiarce nowa myśl błysnęła w głowie. Kolasińska, rzeźniczka, szuka dziewczuchy. Niechby wzięła złodzieja, głupia baba! Dmie się to, niewiadomo czego... Teraz znów sługą chce wszystkich zakasować... Othy dla niej sługa...

— Panno! panno! — zawołała. — Niechno panna czeka!

Hanka się obejrzała i stanęła:

— Niech ino tu panna bliżej podejździe!

Dziewczyna podeszła.

— Tu w drugiej kamienicy — mówiła z cicha straganiarka — mieszka rajfurka Janowa. Już się tam panna dopyta. Wiem, że ona do rzeźniczki z przeciwka sługi szuka. Niech panna idzie, może się uda.

Hanka pocałowała babę w rękę.

— Dziękuję, moja pani...

— Co tam dziękuję! Niema za co dziękować. Idź panna z Bogiem.

Zajęta zmywaniem statków Janowa przyjęła Hankę w sposób, budzący najlepsze nadzieje. Wczoraj właśnie mówiła jej pani aptekarzowa, że wzięłaby i pobytową nawet, byle cichą i pracowitą dziewczuchę, bo już z temi „lafiryndami“ rady sobie dać nie może. Co która pobędzie tydzień, dwa, oho! już po służbie. Nienastarczone rzeczy. Zuczuiamiby tylko albo i z prowizorem po kątach każda wyszczerzała zęby, a roboty się boi jak ognia... Wprawdzie to i rzeźniczka szuka, ale również co pani, to pani. Za-

wszedł to inna rzecz u profesyanta służyć, a u państwa...

W Hanke wstąpiła otucha.

— Moja pani Janowa, moja święta! To kiedy-by my poszli?

— A cóż! Odkładać niema co! Niech ino panna mój fartuch zapasze i tę chustkę z głowy zdejmie, żeby tak jakoś koło panny było porządniej trochę. Ja ino poszoruję statki, to zaraz pójdziemy.

W pół godziny potem były już w aptece.

— Proszę wielmożnej pani — rzekła Janowa, krygnąc się i całując rękę pani aptekarzowej, bardzo wysokiej, bardzo żółtej i bardzo chudej osoby — „rekomanduję“ pani nową kuchareczkę...

Pani aptekarzowa miała wzrok krótki, przymrużyła więc oczy i wyciągnęła cienką swoją szyję. Rozpoczęła się indagacya.

— Zkądże to?... U kogo służyła?...

Janowa się zbliżyła, wspięła do ucha pani i z poufałością, cechującą stosunki małomiasteczkowe, zaczęła szeptać.

Ale w tejże chwili pani aptekarzowa odskoczyła, rozstawiwszy przed sobą chude swoje ręce.

— Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!... — mówiła prędko, trzęsąc niemi i cofając się ku drzwiom pokoju.

Janowa wszakże nie ustępowała z placu.

— A wielmożna pani wczoraj mówiła...

— Mówiłam! prawda, że mówiłam! Ale jeszcze nie wiedziałam o niczem. A tu się piękna historia u państwa kasyerów dziesięjszej nocy stała... Cóż, to, Janowa nie wie, że ta Kubisiakówna Walerka okradła ze wszystkiej bielizny i uciekła?... To Jano-

wa nie słyszała o tem? A przecie się całe miasto trzęsie.

Kobiecina klasnęła w ręce i zaczęła głową kiwać w wielkiem zdumieniu.

— Przypatrzcie się, moi ludzie, co to za złodziejka!

Usłyszawszy ten wyraz, Hanka mimowolnym ruchem sięgnęła ku chustce, której wszakże nie miała na głowie. Znowu jej zaczynało się majaczyć, że to ona okradła kasyerów, że się to wszystko zaraz wyda i że ją znów do więzienia wezmą. W pomieszczeniu swoim pociągnęła Janową za fartuch, chciała odejść.

Janowa wszakże postanowiła raz jeszcze próbować szczęścia.

— Co tam, proszę wielmożnej pani! — rzekła z rezygnacją. — Co się stało, to się nie odstanie. Niby to i tutejsze nie kradną! A toby wielmożna pani miała dziewczuchę pomysłenie... Jedna drugiej nie równa, choć i na ten przykład, Kubisiakówna zawsze była galgan dziewczysko, a ta i ugotuje, i wypierze, latać nigdzie nie będzie, bo to znajomości nijakich nie ma...

— A niech ją tam! licha, moja Janowo! Zeby mi tu ona miód robiła, to już ja jej nie chcę. Niech się tam nią kto inny dorabia, byle nie ja.

— No! Cóż robić, kiedy wielmożna pani nie chce...

— Ale nie, nie, moja Janowo! I wam radzę, nie prowadzajcie jej nigdzie, bo się możecie w jaką biedę wkopać.

— Ha, jak tak, to padam do nóżek wielmożnej pani.

— Bądźcie zdrowi.

Wyszły.

— No, moja panno — rzekła Janowu do zstępującej w milczeniu ze schodów dziewczyny, — widziała panna, że się człowiek starał, jak mógł, i wszystko na nic. A ja pannie powiem, że jak panny w aptece nie wzięli, to panny nigdzie nie wezmą, bo to jest służba osławiona między wszystkimi, i żadna się tam porządna sługa nie posięgnie, tylko same szurgoty. A kiedy już ta sucha Jewka panny nie chciała, to źle! To już ja się nie podejmuję panny prowadzić. No, no! aż mi dziwno... A wiem, że sługi nie mają..

Kiwała głową w krochmalnym czepcu i kołysała się na szerokich biodrach w wielkim zadziwieniu. Po chwili zatrzymała Hankę.

— Tak dawaj panna mój fartuch, a po chustkę sobie panna przyjdź. Tyle tylko, że się człowiek po próżnicy językiem naobracał. Aż mi w gardle zaschło. Żeby tak z kim politycznym, toby się i napić warto z naparstyszek..

Hanka zrozumiała przymówkę i sięgnęła po swoje trojaki.

— A toć jabym rada... — Miała nadzieję, że ją jeszcze Janowa do rzeźniczki doprowadzi.

-- A no, to dalej go!... do Szapsiowej...

— Tyłko, że jabym chciała pierwaj chustkę... Jakoś tak nieładnie między ludzi...

Nie mogła wymówić, że jej wstyd było z odkrytem czołem między ludzi iść, ale w istocie wyobrażała sobie, że kto na nią spojrzy, to zaraz pomyśli: złodziejka. Wstąpiły tedy po chustkę.

U Szapsiowej było gwarno. Hanka zawahała się na progu, ale ją pociągnęła Janowa. Pierwsza izba pełna była pijących. Jedni siedzieli przy złotym, bejcowanym stole, to popodpierani oburącz, chmurni, milczący, kurząc szwacent i plując na strony, to rzucający się sobie w objęcia i płaczący rzewnie. Drudzy, porozwalani na ławach, śmiali się, dowcipkowali, śpiewali i, chociaż sami napół pijani, krotochwile sobie z innych czynili, kilku stało w środku izby—to krzepko, to już się chwiejąc na nogach i rozlewając wódkę, a od czasu do czasu uderzali pięściami w stół i klęli donośnie.

Budna usługująca dziewczyna kręciła się, jak mucha w ukropie, odwoływana i popychana na wszystkie strony: sama zaś Szapsiowa, robiąc pończochę na wysokim stołku za szynkwasem, patrzyła na gości swoich tem leniwem, zmrużonem nieco spojrzeniem wygrzewającej się kotki, które tak często widzieć można u starych, tłustych, niegdyś pięknych żydówek małomiasteczkowych.

Janowa przepchnęła się do samej szynkarki i, zażądawszy anyżówki, przepiła półkwaterkiem do Hanki.

— Daj Boże zdrowie!

— Daj Panie Boże!

Dziewczyna odebrała kieliszek i wypila także. Wtedy Janowa zaczęła przegryzać ser z kninkiem i słony obwarzanek żydowski, po którym okazała się potrzeba przeplókania gardła piwem.

W czasie tego poczęstunku ten i ów podchodził i zaglądał pod chustkę uparcie zasłaniającej się dziewczynie. Kilku nawet szturchnęło ją w bok, nie-

umyślnie niby, że to tłok był w szynku. Jeden zwłaszcza, chłop młody i rosły, obeladził ją to z lewej, to z prawej strony, jakby szukając zaczepki. Płaciła właśnie za traktament Hanka, kiedy stanął wprost przed nią i, zajrzawszy jej w oczy, zawołał:

— A, jak Boga kocham!... Tośmy się zeszli!

Hanka spojrzała i poznała go także. Był to Józek Calik, co z nią przeszłego roku razem w więzieniu siedział.

Zapaliła się na twarzy i pociągnęła za fartuch Janową. Chciała wyjść ztąd coperdziej.

Ale babie po onem piwie z anyżówką na gadanie się zebrało, więc się łokciem na szynkwasię podparła, na ręce brodę położyła i opowiadała Szapsiowej, jak to przeszłego roku chłopaka jej do woiska brali. Ani sposób było wyciągnąć jej w tej chwili. Calik też ode drzwi zastępował i, wsparłszy się pod boki, śmiał się i głową kręcił.

— No, no! kiedy my się też tak tutaj zeszli! No, no. I dawno tu, Hanusia?

Dziewczyzna ścisnęła zęby i milczała.

— A cóż to Hanusia zaniemówiła, czy co? Zawsze taka harda?

Zbliżył się do dziewczyny, która znów pociągnęła Janową. Baba odwróciła głowę, a biorąc zaczepkę Calika za zwykłą galanterię, rzekła:

— Daj sobie pan spokój! Bo ta panna nietutejsza i z tutejszerny kawalerami nieznająca...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Calik huc'nie. — Moja pani! Wiem ja lepiej niż pani, z czem ta panna znająca, albo nieznająca.

— A ja panu powiadam, co sobie pan daj spokój, bo ja tę pannę do służby prowadzę.

Calik obrócił się do dziewczyny.

— Co, Hanusia, zgłupiała? Do służby Hanusia idzie?

— Gdzież pójdę?—przemówiła Hanka z jakąś niecierpliwą żalością w głosie.

Calik pociągnął ją na stronę.

— Hanusia lepiej z nami trzymaj—przemówił zwicha.—Kupa nas tu jest? Zawierska tu jest, i Walera jest, i Korbielakowa... Człowiek sobie cza owy, nad karkiem mu nikt nie stoi, we świat też czasem wyjrzy, to na folwark gdzie, to na jarmarczynę jaką. Ze żydkami wszystko można, powiadam Hanusi... Ja już tu trzy kwartały siedzę i jakoś się żyje. Insze tam ponciekały do Warszawy. Warszawa im pachnie. A niech im tam pachnie! A ja Hanusi powiadam, że i tu nienajgorzej...

— Muszę już iść—rzekła.

— A gdzie Hanusia siedzi? u tej baby?

— Nie mam jeszcze nijakiego posiedzenia...

— No, to Hanusia na próżno służby nie szukaj, bo dziś o Walerze obębnili na rynku, to się każdy będzie wagował wziąć, a do mnie się Hanusia na Utratę pytaj, to się możemy zejść... No, jakże?

— Muszę już iść—powtórzyła dziewczyna jakby odurzona.

Calik puścił jej rękę i pokiwał głową.

— Już ja widzę, że si... Hanusia zmarnuje bez tę swoją hardość...

Nie odpowiedziała, ale, szarpnąwszy zagadaną babę za rękaw, rzekła:

— Abo iźcie, abo nie idźcie, bo ja idę.

Janowa spojrzała na nią zamglonemi oczyma.

— Gdzie panna idzie?

— Do rzeźniczki idę...

— No, to niech panna idzie, bo ja tam nie pójde.

Odwróciła się do szynkwasu.

— Jak go, powiadam pani Szapsiowej. ostrzygli, jak ja go zobaczę, jak mnie żalność nie zeprze, jak nie ryknę...

Dziewczyna wyszła. W głowie jej się kręciło, niewiadomo z czego. Z kieliszka anyżówki może, z gorąca, z Calikowego gadania... Wyszedłszy, spostrzegła, że się już dobrze zmierzchno i że na bladej wieczorowej zorzy cztery latarnie w rynku świecą, żółte i dymiące jakby... Ano, niema już co i myśleć o chodzeniu do rzeźniczki po nocy. Jutro pójdzie.

Przeszła ulicę w poprzek i stanęła. Jutro... A gdzie teraz pójdzie? A gdzie zanocuje? W tem drzwi szynkowni brzękły i wyszedł Calik, rozglądając się wzdłuż ulicy na prawo i na lewo. Dziewczyna cofnęła się w bramę i czekała, aż przejdzie. Dopiero kiedy się chłopak znacznie oddalił, wyszła i powlokła się w przeciwną stronę. Szła, gdzie oczy poniosą.

Wieczór był cichy, ciepły, wilgotna mgła perłowa wisiała nisko nad ziemią, tu i owdzie słychać było skrzypienie studni i śmiechy biorących wodę. Z gozdinę szła, wracała się, stawiała, właśnie jak ta owca błędna, co się od gromady odbije. Przez niskie okna drewnianych domków widać było ludzi, krzątających się w posłotliwych izbach. Gdzieniedzie zabierano

się wieczerzać, a zapach świeżych kartofli i skwarek rozchodził się szeroko.

Jak we dnie od ludzi, tak teraz od tych drzwi i okien odwracała Hanka głowę, zwieszoną pod ciężarem wielkiej swojej chustki; wiedziała ona, że żadne z tych okien nie otworzy się dla niej, że żadne z tych drzwi nie puszcza jej do wnętrza... Kilka suchych bułek niewiele ją posiliło, noga też zaczynała dojmować coraz bardziej. Szła jednak, bo nie miała się gdzie zatrzymać, aż poczuła w powietrzu woń skoszonej trawy i wyszła na łączkę podmiejską, pomiędzy kupki przeschniętego potrawu. Pod jedną z kupek takich usiadła i oparła głowę.

...Niech jeno ranek, zaraz pójdzie do rzeźniczki, sama pójdzie, prosić będzie, a musi służbę znaleźć. Już jej nikt nie namówi na takie życie... Ręce sobie do łokci pourabia, a na złe się nie puści... Niech Calik co chce gada, albo i inni, nie puści się i nie puści... Takie ma postanowienie w sobie. Pana Jezusa oto na pomoc wezwie i świętego Antoniego... Ach, Panie Jeza Chryste i święty Antoni!... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego... Ojciec nasz, któryś jest w niebie..., Zasunęła się głębiej w siano, opuściła głowę, usnęła.

Sen miała ciężki, męczący.

Sniło jej się, że ojciec jej, stary Kacper Blacharz, szewc z Pabianic, trzewiczki jej szyje... takie małe trzewiczki. Szyje, szyje, młotkiem podeszwy klepie, dratwy dociąga nakrzyż, szpilki struże, a to wszystko na drogę dla niej, bo ona w pobyt idzie... A taka z niej mała dziewczeczka, taka mała, że jej ledwo z dziesięć latek... Matka ją w czystą koszulę

oblóczy, warkoczyki jej plecie, starsza siostra fartuszek pierze, starszy brat wozem zajeżdża, a to wszystko dla niej w pobyt... Przyszedł ksiądz proboszcz, pieśni z organistą śpiewa, święconą wodą wóz kropi, a tu jak nie hukną dzwony... Wstrząsnęła się i otworzyła oczy.

Wiatr nocny mgły gdzieś na strony rozegnał, nad nią wisi szafir ciemny i głęboki, a wielka, jasna gwiazdka, jak złoty jaskier, w pośrodku się pali. Księżyc się już ku zachodowi obrócił, a łąka, jak okiem zajrzeć, pod tumanem srebrnym, jakby pod jeziorem, stoi. Derkacz odzywa się to bliżej, to dalej, wilgotny chłód po kościach chodzi...

Skuliła się, głowę przechyliła na drugie ramię, zasłęła.

Śni jej się, że dokoła niej wielka woda huczy i coraz wyżej, wyżej się podnosi, a ona w pośrodku stoi, głowę pod wodą trzyma i już, już ma się zalać... A co się wychyli, co głowę podniesie nad wodę, to kamień z góry spada i w głowę ją trafia. A ona krwią się oblewa i znów na głębie idzie.

Woda huczy a huczy, zimno przenika jej ciało... Już, już dochodzi do brzegu, już trzcinę chwytą, już głowę wystawia, oddycha, aż tu patrzy — na brzegu ludzi tłum, a każdy ma wielki kamień w ręku i czeka tylko, żeby w nią uderzyć... Składa ręce, prosi... Dobrzy ludzie, dobrzy, wielmożni panowie! Nie rzucajcie jeszcze kamieni... Niech się aby na brzeg dostaną, niech z onej wody, z onej głębinie na powietrze wyjdą... Trzcina piszczy u brzegu, woda huczy za nią, ona się kępek chwytą, wodę rozgarnia, do brzegu dochodzi... Aż tu buch! Zakotłowało się wszyst-

ko, kamień największy w głowę ją trafił, padła w tył, głębina ją porwała... A ludzie śmieją się i klaszczą, a woda huczy nad nią, a trzcina piszczy u brzegu...

Zbudziła się. Serce jej biło mocno, w gardle zaschło, jakby od wewnętrznego krzyku. Przetarła oczy i siadła.

Był ranek. Niebo zachodziło różaną zorzą od wschodu. Gęsi dzikie, które przed odlotem żerowały na pobliskim ścieraniu, podniosły się teraz z głośnem gęganiem i, wyciągnąwszy długim, długim sznurkiem, chwiała się w powietrzu cichem, jak szarfą pozłożoną z jednej strony wschodzącem słońcem, a z drugiej siną od sinych tumanów lęznych.

Zerwała się dziewczyna i patrzyła na nie.

Szarfa niesła się coraz dalej, coraz wyżej, a ku ziemi szedł od niej głos, jakby brzęk gędzby dalekiej. Czasem tylko ostrzejszy krzyk gęsiora przecinał ten brzęk nagle i rozbrzmiewał szeroko w porannej ciszy.

Źrenice Hanka rozszerzyły się, otwarła usta, głębokie odlechnienia podniosły jej piers szczupłą, drobną, włosy nocną rosą zwilżone opadły jej na twarz i szyję, a z gardła wyszedł dźwięk krótki, urwany, jakby mimowolny okrzyk niepowstrzymanego instynktu wolności, swobody...

Ale to była jedna tylko chwila.

Z ostatnim brzękiem ginącej w dali gędzby lecącego ptactwa dziewczyna spojrzała po sobie, po stronach i zawstydziła się czegoś. Głowa jej zwisała, ręce zasunęła głęboko w rękawy grubego kaftana, skurczyła ramiona, zacisnęła usta i wolnym krokiem wróciła do kupki potrawu, pod którą chustka jej leża-

ła. Musi się spieszyć, do rzeźniczki musi iść, służby musi szukać ..

Wyszła na drogę do miasta. Ruch się już po domostwach budził, w podwórkach kozy beczaly, gdzieś gdzie wznosiły się z kominów cienkie pasma dymu. Szła, nie podnosząc oczu od ziemi, a w myśli jej majaczyły sny nocne i gęsi beczące, a tak jej coś w głowie huczało, jakby wielka, wielka woda...

.....

Nie wiem, jak tam sobie radzą wogóle babskie języki, kiedy je sekret jaki przypieczę, ale to wiem, że język owej straganiarki, co to pierwsza rała Hance służbę u rzeźniczki, należał do takich języków, na które zgola żadnej rady niema. Kwadrans jeszcze nie minął po rozstaniu z Hanką, kiedy owa właścicielka pościeli na cztery łóżka i wszelakiego porządku zwierzyła się kumie Mateuszowej, jako Kolasińską „objedzie” i „pobytówkę” jej do domu wkręci.

Mateuszowa słuchała zadumana. Zdarzyło się bowiem, że jak raz potrzebowała wziąć tego dnia trzy nogi wołowe na kredyt i miarkowała sobie, że za taką nowinę łatwiej je dostanie. Niewiele tedy myśląc, chwyciła chusikę, koszyk i wprost do rzeźniczki poszła.

Konfidencya zacnych niewiast podwójny miała skutek. Pierwszy był ten, że Mateuszowa wróciła do domu, niosąc w koszyku trzy bure, kosmate nogi wołowe, na kredyt wzięte, czerwona od gadania i kieliszka pomarańczowej, którym ją za życziwą przestrogę poczęstowano; drugi zaś ten, że imci pani Kolasińska całą noc parskała i fukała, zatykając się nie-

mal z hamowanej pasyi i nie mogąc doczekać ranka. Sama ze siebie możeby i wzięła „pobytówkę“ na służbę, ale żeby zaś kto na urągowisko, z umysłu taką stręczyć jej miał!... Niedoczekanie czyje!...

Zaledwie tedy Hanka weszła i usta otworzyła, kiedy rzeźniczka zerwała się ze stolka, na którym siedząc piła kawę z kwartowego garnka, a przyskoczywszy z pięścią do dziewczyny:

— A ty, złodziejko! — wrzasnęła. — A ty wywłok! A do straganu ruszaj! Do dobrodziejki swojej, nie do mnie!... A ty...

Nie podejmuję się tu powtarzać całego repertuaru zacnej pani Kolasińkiej: zaręczyć wszakże mogę, że był on bardzo obfity i urozmaicony, tak w oryginalnej swojej części, jako też i w przyswojonej z innych, pięknie w tym względzie uposażonych języków. Na uwagę zasługuje także nadzwyczajna szybkość tak dykcyi, jak i samej akcji w tej sprawie, a to tak dalece, że nie minęły jeszcze trzy zdrowaski, kiedy już Hanka została nietylko zwymyślana kategorycznie, ale poturbowana i wypchnięta za drzwi, sama zaś pani Kolasińska, wróciwszy do swojej kawy, bełkotała resztę kłąt w zapchanemi bułką ustami, sapiąc silnie i wygrażając od czasu do czasu pięścią w stronę ulicy.

Tak oddalająca się burza ciska za sobą ostatnie błyskawice, warcząc z chmur poszarpanych — niewyraźnym grzmotem.

Wypchnięta za drzwi dziewczyna chwilę stała na ulicy ogłuszona, przełękła, machinalnym ruchem poprawiając na sobie potarmoszoną odzież; kolana pod nią dygotały, świst i szum napelniał jej uszy. Ludzie

przechodzili i potracali ją; nie czuła prawie tego, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem. Zaczynała pojmnować, że służby w miasteczku nie znajdzie. I zdawało jej się, że w świście tym, którego miała pełne uszy, słyszy wyraźnie głos Bamblowej, a potem głos Józka, a potem sto innych głosów, które jej jak wiatr huczały w głowie. Jakiś ruch instynktowny pchnął ją wreszcie z miejsca, na którym stała. I znowu szła, nie wiedząc gdzie i po co, a czując tylko, jak ją ciężka, twarda jakaś ręka pcha dalej a dalej, przyniatając coraz głębiej ku ziemi. Pod uczuciem tego nacisku zapurzyła głowę w ramiona, wlokąc za sobą nogi coraz wolniej, aż opadłszy z sił zupełnie, osunęła się pod płotem, grodzącym jakiś szmat pola, zasadzonego kartoflami. Tuż na górze wiatrak klek tał jeduostajnie, a poruszający się na żółtym piasku cień jego śmig, podnoszących się i opadających kolejno, zwracał się już ku południowi, które przychodziło znojne, gorące. Dziewczyna nie poruszała się z miejsca, ale objąwszy rękoma podniesione kolana, siedziała skurczona, zmrużywszy zmęczone oczy. Wkrótce wszakże, pod działaniem promieni słonecznych i kłopotu wiatraka, ręce jej się rozplotły i opadły wzdłuż ciała, nogi wyprostowały, osuwając się po ziemi, a głowa ku pierśom zwisała.

Nie spała wszakże Hanka i pacierza, kiedy ją zbudził głos ujadającego psiaka, za którym postępował młynarz Fabich, w rozpiętej kamizelce nankinowej i z krótką fajeczką w zębach. Już z ganku wiatrakowego widział on, że mu się ktoś po polu włóczy, i już ztamtąd posłał kilka energicznych „*donnerwetter'ów*“ siedzącej pod płotem postaci. Skorzystał też

z południowego spoczynku, ażeby zobaczyć, kto to tam taki, a ujrzawszy dziewczynę, zdaleka już trząśł wyciągniętą fajką i krzyczał:

— *Was Teufel* tam dziewczucha na mój grunt lazi?... Nie wiedziała, że to moje pole?... He?...

Hanka powstała śpiesznie.

— Już idę... nie wiedziałam... Niech się pan nie gniewa.

— Nech sze pan ne knifa! Nech sze pan ne knifa! U nich wszystko: nech sze pan ne knifa! *Aber* ja sze chce knifać, *donnerwetter!* Ja mam prawo sze knifać na swój grunt, na swoje pole!... Do roboty to ich niema, *aber* lazić w szkodę, to mają czas. Żeby dziewczucha co porządna i mądra była, toby sze ne leciała cyganić po polu, tylko do pielienia by szła, do kopania... Ja ludzi do kopania szukam, ja dobrze płaci i znaleźć nie mogę, a ona pod płot drzyma...

Oczy Hanki błysnęły nadzieją.

— Ja też roboty szukam...

— *So! Das ist was anders!* Teraz taki czas, że każdy roboty szuka. *Was Teufel* komu po tych wszystkich robotnikach? Teraz pieniądz droga, *aber* robotnik tania. Cóżby dziewczucha chciała od kopanie?

— Jak tam pan innym płaci, tak i ja wezmę.

Niemiec się nadął.

— Ja płaci!...—Tu chciał powiedzieć zwykłą cenę, ale spojrzawszy na nędzną odzież dziewczyny, w czas się powstrzymał i rzekł:—Ja płaci dwadzieścia cztery grosza i kartofli co zje.

— Dobrze, będę kopala—rzekła Hanka skwapliwie.

— A motyka i plachta jest?

— Nie... motyki nie mam... ani płachty...

— *Das ist was anders!* Jak bez motyk i bez płachta, to ja płaci *bischen weniger*... ja dać 20 groszy i kartofel na południe.

Hanka była zrezygnowana.

— Niech i tak będzie rzekła,—będę kopąła.

Młynarz wypuścił fajkę z zębów. Powolność dziewczyny zastanowiła go.

— Dziewucha *aber* może chora? Może nie poradzi kopania?...

Hanka się przełękła. Ciemne rumieńce zaogniły jej twarz wychudłą, rozśmiała się suchym, przymuszonym śmiechem.

— Cobym zaś nie miała poradzić! Zdrowa jestem, mocna jestem! — rzekła, prostując szczupłe ramiona i wyciągając przed siebie z dziką jakąś energią swoje chude ręce.—Jak będzie trzeba, to i kamienia ugryzę, wiatrak przeskoczę...

— Ne! ne! ne!... — wołał Fabich, trzęsąc głową i ręką.—*Gott bewahre!* Na co wiatrak? Nie trzeba wiatrak!... I kamieni nie trzeba. *Aber*, jak ja motyk dam swoje i płachta swoje, to ja muszę swego pewny być, i ja muszę wiedzieć, gdzie robotnik swój dom ma.

W Hance serce zamarło.

— Ja ta nie mam nijakiego domu—odrzekła.

Spuściła chmurne oczy i milczała przez chwilę. Nagle jej się łzy po twarzy rzuciły, przypadła do kolan młynarza.

— Mój panie! mój złoty, mój miłosierny panie! Weźcie mnie do kopania! Mój panie! Będę wam jak pies do późnej nocy harowała, jednej peruszką w zie-

mi nie ostawię, za dwoje robić będę, jeno mnie pora-
tujcie, jeno mnie weźcie! Mój złoty panie!

Młynarz cofał się zdumiony. Dziewczyna wybu-
chnęła płaczem.

— Ani ja roboty, ani ja zarobku, ani nijakiego
opatrzenia, ani przyjaćielstwa nie mam!... Niech tam,
niech co chce będzie! Wszystko lepiej odrazu po-
wiem, niech się co chce stanie! Mnie tu w pobyt ka-
zali...

— W pobyt? — zawołał, zatrzymując się mły-
narz. — Ach! *so! Das ist was anders! Ach, so!...*

Zacmokał grubemi ustami i kiwał głową. Po
chwili odsapnął, pociągnął parę razy z przygasłej fa-
jeczki, wypuścił cienkie pasemko dymu, pod nos wy-
sunąwszy wargi, i rzekł:

— Na, na!... *Das ist was anders!* To jest glu-
pie sprawa z ten pobyt... To jest bardzo głupie spra-
wa... *Aber* jak tak, to ja nie mogę dać tyle. Jak tak,
to ja dam dziesięć groszy za każdy dzień i kartofli na
obiad. *So! so!* I żeby sobie nocleg sama szukała,
a plachta i motyk mnie na każdy wieczór oddawać do
ręki.

Hanka otarła oczy.

— Niechże będzie dziesięć. Bóg wam zapłać
i za to. Każcie ino dać motykę.

— *Aber* na co zara motykę? *Das wäre je kein
Rechnung.* Do wieczora redlinę przekopie, a musiał-
by kartofle dać...

Hanka machnęła rezolutnie ręką.

— A niech je ta i kartofle! Będę kopala i tak,
bez obiadu.

— *Das ist was anders! Das ist richtig!* — kiwnął głową Niemiec i kazał iść za sobą dziewczynie.

.....

III.

Zaczęły się tedy dla Hanka dni nowego życia. Zrazu pracowała gorączkowo, świtem na redlinie stając, nocą z pola schodząc, palcami ziemię przesiewając niemal. W południe piekła garść kartofli, do których kupowała sobie trochę soli, reszta zarobku szła na chleb, który dziewczyna dzieliła na dwie części, na ranny i wieczorny posiłek. Po tygodniu wszakże takiej pracy znacznie osłabła; i chociaż z równą gorliwością kopać usiłowała, często przecież w oczach jej ciemniało nagle, a trzęsące się ręce nie mogły już z takim, jak wpraw, natężeniem ułrzać motyką w korzeniastą ziemię. Zdarzało się też, że młynarz, który od czasu do czasu kopania doglądać przychodził, znajdował za dziewczyną jeden i drugi kartofel w redlinie, krzychał wtedy, czapkę o ziemię ciskał, nogami tupał, za głowę się darł i po groszu, po dwa z mizernej zapłaty wytrącał. Hanka przecież znosiła to wszystko. Owszem, czuła się niemal szczęśliwą. We dnie miała robotę, jak i inni ludzie, nocą tuliła się gdzie w bruzdzie i nakrywała płachtą, na pewnośc której Fabich wziął do siebie jej czerwony paszport. Mogła wyżyć. Noce wprowadzie coraz to

były chłodniejsze, a dziewczynę nieraz zimno od rana wytrzesło, że to i rozgrzać się nie było czego. Przewidywać się nawet dawał czas, w którym zgoła w polu nocować nie będzie można. Hanka usiłowała nie myśleć o tem, a ile razy Fabich nadchodził, machała motyką tak, że aż grudki wilgotnej ziemi rozpryskiwały się na wszystkie strony. Skończyło się nareszcie kopanie Fabichowych kartofli, ale dobra jakaś gwiazda i dalej przyświecała dziewczynie, sam Fabich bowiem nastreczył ją Gawrońskiemu, szynkarzowi, który tuż za wiatrakami półko swoje miał i kopaczy szukał. Nie widział wszakże zacy młynarz żadnego powodu, aby Gawrońskiemu życzyć tak taniej robotnicy, jaką sam znalazł; powiedział tedy szynkarzowi, że płacił Hance 20 groszy dziennie. Szynkarz na tę cenę przystał chętnie, ale się Hanka teraz uparła, że mniej nie weźmie jak 24. Trzewiki z nóg jej spadały, odzienie zgubiło prawie od ciągłej wilgoci ziemnej, musiała więc coś zebrać, oszczędzić i oporządzić się trochę. Gawroński się targował, ale zważywszy, że naokoło płacono kopaczom po 40 groszy, zgodził się na wymaganie dziewczyny i na zgodę przepił anyżówką do Fabicha. Poczem czerwony paszport Hanki przeszedł w ręce szynkarza, a dziewczyna, pełna otuchy, dostała zamiast płachty—worek.

Stawała znów tedy w półku za wiatrakami coraz to mglistszym rankiem, schodziła coraz to ciemniejszym wieczorem, bo dnie skróciły się znacznie. Jesień zapowiadała się wczesna, słotna; stada wron i kawek ciągnęły od pobliskiego boru, deszcze przechodziły drobne, zimne, uprzykrzone... Owo „zimno“, o którym Hanka mawiała, że ją „ograża“, zmieniło

się teraz w stale wracającą co czwarty dzień febrę, z którą wszakże dziewczyna kryła się przed ludźmi, żeby jej roboty nie odjęto. Głowa jej wtedy ciążyła jak kamień, w kościach łamało jak kołem, a takimiała pragnienie, że nieraz się nad rowem położywszy, piła, aż ją odeło całą.

Ponieważ Gawroński pozwolił jej piec dwa razy na dzień kartofle, przestała chleb kupować, a nawet nie kupowała i soli, której dzieciaki z szynku czasem przyniosły. Składała za to grosz do grosza, dziesiątkę do dziesiątki, a kiedy po dwóch tygodniach pracy złożyła dziesięć złotych, poczerwieniała z radości i zawiodła piosnkę, przypominaną z dawnych, dawnych lat. Dzień to był wyjątkowo ciepły, chociaż mglisty; przydrożne topole stały bez ruchu, cienkie niteczki babiego lata srebrzyły się nad ziemią, unoszone jakimś niewidzialnym, leciuchnym podmuchem, a słońce zachodziło blado-złote, bezpromienne, wsikając zwolna w liliowy tuman popad lasem.

Od miasta szło towarzystwo, damy i panowie, a idąc, rozmawiali wesoło. W małych miasteczkach często się zdarzają takie przechadzki: to na szosę, to do jakiegoś uprzywilejowanego punktu, to między pola podmiejskie. Hanka śpiewała. Zdawało się, że uciśniona, zagłuchła jej dusza dostała nagle i skrzydeł i głosu. Jakaś zorza wyszła z pod serca dziewczyny na jej twarz wychudłą, w zapadłych oczach paliła się reszta gorączki po wczorajszej febrze, usta jej drżały. Głos zrazu rwał się i łamał, potem się zwolna rozciągnął do jakiejś dziwnej skali, aż rozbrzmiał na całe pole, pod las poleciał, na łąki, pełny, dzwoniący, wilgotny, jakby nabrany rosą. Rzecz dziwna.

O trzewikach tylko myślała dziewczyna, a w śpiewie jej brzmiała cała bezwiedna poezya, do jakiej serce ludu jest zdolne. Była szczęśliwa, radosna, a w śpiewie jej brzmiała bezgraniczna żalosc i tęsknota...

Towarzystwo, idące oł miasta, musiało poczuć urok tego głosu, gdyż rozmowy i śmiechy przycichły nagle, a kilka głów odwróciło się w stronę śpiewającej dziewczyny. Pomiedzy głowami temi była jedna, pokryta jasnym, krótkim, szczeciuiastym włosem, z której oczy błyskały przykrem, czerwona wem światłem. Głowa ta i oczy były własnością znanego nam pana sekretarza, który w tej chwili właśnie przystanął, usta przygryzł, powieki na oczy zasunął i lekko poblądł na twarzy. Nie trwało to wszakże i minuty, i kiedy inni słuchali jeszcze, pan Aleksander Kosicki, uważany w miasteczku za bardzo milego kawalera, do dam się zwrócił i rozśmiał swoim skrzypiącym głosem, jakimś kancelaryjnym conceptem nawiązując przerwana rozmowę. Rozmowa ta wszakże nie kleiła się jakoś. Sam też pan sekretarz, przypomniawszy sobie bardzo pilny interes, odprowadził towarzystwo tylko do tak zwanych „Dąbków,” niewielkiej polanki, zarosłej zrzadka tarnią, wśród której stały tu i owdzie pojedyncze dęby, — poczem śpiesznie ku miasteczкови wracał.

Hanka śpiewała. Jej szara, szczupła, przygięta ku ziemi postać odbijała ciemną sylwetką na tle zórz zachodnich, niewiele się różniąc od tych kamieni polnych, które, wyzbierane przez pastucha, na miedzy kupkami leżały. Zajęta myślą o trzewikach, dziewczyna dokopywała redliny, posuwając się śpiesznie ku żerdziom, grodzącym półko od strony szosy. Blisko

już była, kiedy cień jakiś upadł jej pod nogi. Podniosła głowę i nagle zamilkła. Przed nią, oburącz wsparty na żerdzianym płocie, stał pan sekretarz, błyskotliwie spoglądając z pod zmrużonych powiek. Jeszcze dziewczyna nie zdążyła się opamiętać w swoim osłupieniu, kiedy szanowny filar magistrata za-skrzypiał głosem przyciszonym nieco:

— Ty czemu się nie jawiła do mnie w kancelaryi? Czemu się nie meldowała?... a?...

Po Hance ciarki przeszły. Przez parę ostatnich tygodni zapomniała zupełnie, przy ciężkiej swojej pracy, o meldunkach, o kancelaryi, o wszystkich urządach. Chwilami zapominała nawet o pobycie, o więzieniu, o całej przeszłości. Zdawało jej się wówczas, że całe życie zeszło jej na wygrzebywaniu kartofli z czarnej, wilgotnej ziemi, i że nadal całe też tak samo schodzić jej będzie. Były to dla niej najszcześniejsze chwile. Ale przeszłość była i dopominała się o nią, a cień żółtego więziennego gmachu wydłużał się i aż tu padał na nią. Była w pobycie. Zafrasowała się i spuściła głowę.

— Tak cóż?—przemówił pan sekretarz, rozszerzając nagle żrenice i jakrawem spojrzeniem obejmując postać stojącej przed nim dziewczyny. — Gadaj! .. a?...

Hanka podniosła ku niemu oczy strwożone.

— Kiedy ja, wielmożny panie, służby nijakiej w mieście nie znalazła... ja tu tak tylko na wyrobek kopię...

— Tak trzeba ci było i tak się jawić i meldować. Ja ciebie na duiach szukać kazał. Tobie kara będzie za to, sztraf... rozumiesz? a?... Trzy niedzieli

temu nazad przyszła i nie meldowała się ani raz...
Ot co! A paszport twój gdzie?

Dziewczyna była jakby skamieniała. Wszystkie złote nadzieje, jakie przed chwilą roila z powodu owych dziesięciu złotych i spodziewanych trzewików, opadły jej z serca tak, jak opadają liście z drzewiny pod tchnieniem jesiennego wichru. Nie znając ani istoty prawa, które ją dosięgało, ani zakresu władzy, pod którą tu była, lękała się wszystkiego. Owszem, zdawało jej się, że każdy ma moc uczynienia z nią co mu się podoba. Sztraf, kara majaczyły jej po głowie niby dwa dziwaczne widma, z których każde wyciągało długie, długie ręce po jej zarobek krwawy. Pod wpływem niepokoju tego przycisnęła obie dłonie do szczupłej piersi, gdzie w za adrze miała chęścinę z sweni dziesięciu złotemi.

Pan sekretarz tymczasem obejrzał się ukradkiem na prawo, na lewo, błysnął oczyma, zasnął je powiekami i zapytał zeicha:

— A gdzie ty nocujesz? a?...

— Tu, wielmożny panie, nocuję.

— Gdzie „tu”? W karczmie?...

— Nie, wielmożny panie, tutaj...

— Tam, w szo, ie?... a?...

— Nie, tu... tu, na polu...

Pan sekretarz zadziwił się.

— Jak?... Na polu?... sama?...

— Juści-że...

— A tobie nie zimno? a?...

— Juści-że... wielmożny panie.

— Tak na tobie na wódkę. — Tu pan sekretarz

sięgnął do kieszeni i rękę z dziesiątką do dziewczyny wyciągnął. — Do karczmy idź, rozgrzej się.

Chciał więcej coś mówić, ale na drodze podniosła się kurzawa i rozległy krzyki chłopaków, spędzających bydło.

Skoczył tedy pan Kosicki przez rów na drugą stronę szosy i, zanim Hanka podziękować mu zdążyła, oddalił się pośpiesznym krokiem. Dziewczynie zrobiło się czegoś dziwno. Młody pan był miłosierny, ale coś ci srogiego miał w oczach... O sztrafie mówił, o karze, a dziesiątkę jej zadarmo dał... No, no... Patrzała za odchodzącym, obracała pieniądz w rękę i kiwała głową; a jakby nie będąc pewną, czy dziesiątka ta sprawiedliwie do niej należy, nie śmiała jej wiązać w swoją chuścinę, tylko ją w kieszeń wsunęła. Zebrała potem resztę wykopanych kartofli i z trudem sobie wciągnąwszy worek na plecy, poszła go wysypać na przykryty słomą kopczyk, który stał pomiędzy karczmą a stodołą.

Widok słomy nasunął jej myśl, że gdyby szynkarz użyczył jej choć płachetkę trzęsionki, jaką bydło ścielą, byłoby jej daleko i suszej i cieplej spać, niż na tej świętej ziemi... Przystanęła tedy przed karczmą, czekając, aż Gawroński wyjdzie, gdyż szynkarka nawet do sieni po motykę niechętnie ją puszczała, utrzymując, że ino patrzeć, jak ten obieżyświat co porwie.

Stała więc Hanka pokornie pod ścianą, głęboko zasunąwszy ręce w rękawy i wtuliwszy głowę pomiędzy ramiona, jak to był u niej ruch zwykły. Nadszedł Gawroński, pokłoniła mu się do kolan, prosząc o „żdziebluchno“ słomy. W tejże wszakże chwili

wypadła czatująca przy oknie szynkarka i, nąwszy się pod boki, krzyknęła:

— Widzieliście, moi ludzie, żeby na taki ciężki rok słomę po polu roznosić? Własnym krowinom człowiek ujmuję, aby ino, aby ino, póki Pan Jezus żyta omlócić nie da, a takie tam ledaco będzie tu sobie posłanie „rządziła.“ Może ci jeszcze pierzynę wynieść? Abo łóżko? Co?... A ty, głupi, czego stoisz i oczy wytrzeszczasz? — fuknęła na męża. — W izbie pełno ludzi, a on tu będzie stał i „bałamonicł.“

— Ino nie wrzeszczyć, matka! ino nie wrzeszczyć, bekowiska po próżnicy nie robić! — odrzekł Gawroński wolnym i dobitnym głosem, — Panu Bogu ino z tego obraza, a ludziom śmiech. A cóż to ja nie gospodarz, żebym zaś sam ze siebie nie wiedział, co do czego jest należące? Juści że krowy pierwsze, to się wie. Anoby się i dziewczynie patrzyło ździebko słomy.

Zaniosła się do nowego krzyku karczmarka, ale Gawroński energiczniej jeszcze machnął ręką i do Hanka się zwrócił.

— Słuchajże, dziewczucha, — rzekł. — Zrzucił ta Bartek z kalenicy parę snopków, co bez nie do sąsiedka ciekło; idźże ty za stodołę i snopek albo i dwa snopki sobie weź. Choć to tam nietęga obrada, boć to wszystko zbutwiało do licha, ale równo cieplej, niż na szczerej roli.

Pocałowała Hanka szynkarza i szynkarkę w rękę i za stodołę poszła. Okazało się jednak, że zrzucone z kalenicy snopki były zupełnie przegniłe i aż ciężkie z mokrości, że ich zatem i brać nie było co.

Wróciła tedy na kartoflisko posłanie sobie „rządzić” z wilgotnego worka, jak i dawniej.

Tymczasem owe przedzachodnie mgły i тумany zgęstniały i zaczęły mżyć drobnym, przejmującym deszczem. Kilka gwiazd, które tuż po zachodzie słońca wyblysły były, skryły się teraz i roztopiły w szarem, bezbarwnem powietrzu.

Okrywała się Hanka jak mgła, a co na jeden bok zmokła, to się przewracała na drugi. Przewracanie się wszakże takie z boku na bok nie dozwalało jej zasnąć. Otworzyła tedy oczy i rozpatrywała się dokoła w coraz gęstniejącej ciemności. Patrzyła najpierw na niebo i wyraźnie widziała, gdzie się ono zaczyna, a gdzie kończy; patrzyła na karczmę, a z pod jej wysokiego czarnego dachu spostrzegła wyblyskujące w dwóch oknach światełka mętne i żółte; patrzyła na las i widziała, jak pochmurzone jodły stoją martwo i jak pod nimi jałowce czernieją. Wreszcie zatrzymała oczy na wiatraku, którego nieruchome śmigły sterczały ku niebu, jakoby podniesione ramiona. Wkrótce wszakże linie zaczęły się zacierać, kształty niknąć, a coraz grubsza ciemność rozlewała się z każdą chwilą dokoła. Najpierw zniknął las, potem wiatrak, potem owe światełka w karczmie, wreszcie i niebo zlało się z ziemią, a dziewczynę objęła bezgraniczna noc, w której jeśli i były nawet jakie widma, to oko ludzkie dojrzeć ich nie mogło.

Chwilę jeszcze patrzyła Hanka w tę ciemność, potem skuliła się pod swoją chustką i zamknęła oczy.

Koło północy być już musiało, kiedy ją doszły jakieś niewyraźne szmery, jakoby deptanie przywiedłych łęcin kartoflańczy. Podniosła głowę i patrzyła.

Nie wszakże dojrzeć nie było można w tych gęstych, dotykalnych niemal mrokach. Dziewczyna znów zasypiać zaczęła.

Wtem zdało jej się, że czuje jakiś gorący oddech tuż nad sobą i że jakieś chłodne, wilgotne palce ślizgają się po jej włosach i szyi. Otworzyła szeroko oczy, wstrzymując oddech, i ręce wyciągnęła przed siebie. Ręce trafiły na schylnego ku niej w ciemnościach człowieka. Serce jej się w piersiach rzuciło. Ani chybi, złodziej przyszedł ją okraść z jej krwawicy...

Zerwała się w jednej chwili, chwyciła leżącą przy sobie motykę, której, zajęta ową słoną, nie odniosła z wieczora do karczmy. Niech się co chce dzieje, bronić będzie swojej chudoby. Stała pochylona naprzód, z otwartymi bez głosu ustami, ściskając eburącz motykę. Ciało jej dygotało jak w febrze.

Wtem posłyszała tuż przy sobie szept świszający i stłumiony:

— Czego się zrywasz, głupia?...

Jednocześnie dał się słyszeć suchy trzask z potartej w ciemnościach zapalniczki, a przy jej błękitnym płomyku ujrzała Hanka pana sekretarza. Stał przed nią z twarzą wzburzoną i bladą. Ujrawszy go, dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie i, cisnąwszy motykę, jak szalona w stronę się karczmy rzuciła. Pan sekretarz puścił się za nią; ale już psy młynarskie wściekle od wiatraka ujadać zaczęły, a tuż za nimi słyhać było głos Fabichowego parobka, który z ganku krzyczał:

— Huź go! złodzieja... Huź go!...

Wtedy goniący Hankę człowiek stanął, a wyciągnawszy za dziewczyną pięść, potrząsnął nią w ciemnościach nocy i szepnął z mściwym zgrzytem:

— Ja ci!... Ja tobie!...

Wrzawa, jaką uczyniły psy młynarskie, nieprędko ucichła. Z godziny jeszcze słychać było, jak z krótkim, rekognoskującym łajaniem oblatywały w wielkich skokach pole, jak się wichrem pod las poniosły, a zwiertzywszy karczmarzkiego brytana, skomląc, ku niemu przypadły, jak potem wytarzewszy się po roli w trójkę, na drogę się rzuciły z głośnem, docierającym, zajadłem szczekaniem.

Gawroński, który mało spał tej nocy, zdziwił się wielce, ujrzawszy nazajutrz Hankę wciśniętą pod wóz w rogu podwórka i, mimo późnej godziny, głęboko uspioną.

— A ty co tu robisz? — huknął na nią z góry.

Dziewczyna drgnęła i, otworzywszy szeroko oczy, patrzyła na szynkarza jakby nieprzytomna. Trącił ją butem.

— Czegoś ty tu wlaźła, niemrawo? Dzień jak wół, a ta się wyleguje, jak za dobrych czasów. Potrzebnaś tu?...

Wygramoliła się zawstydzona z pod woza i, zawróciwszy w milczeniu, na kartoflisko poszła. Idąc, patrzyła przed siebie zwykłym swoim, trochę tępym, trochę znużonym wzrokiem. Zdawało się, że sen poranny zatarł w niej wspomnienia ubiegłej nocy. Nawet natknąwszy się na porzuconą motykę, podniosła ją powolnym, obojętnym ruchem, jakby nie pamiętając, z kąd się tu wziąć mogła. Dopiero kiedy nieopodal od legowiska swego zobaczyła w bruzdzie czapkę

z lampasem i gwiazdką, rozjarzyła się na twarzy gwałtownym rumieńcem, chwyciła chustkę i worek, a omijając zdaleka zostawioną przez napastnika zgubę, poszła na drugi koniec redliny i z pośpiechem kopać zaczęła.

Od miasteczka tymczasem ukazał się strażnik.

Szedł zwolna, z głową spuszczoną, pilnie się rozglądając po drodze. Gawroński zobaczył go zdaleka, do izby wpadł, baryłkę araku i stojącą za piecem flintę do alkierza wyniósł, z szynkasu butelek kilka sprzątnąwszy, w łóżko je pod pierzynę schował, poczem przed karczmą stanął, tyłem się do drogi obrócił i czmychał nosem.

Fedorenko podszedł tuż do niego.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry! Dzień dobry! — Szynkarz udał wielkie zdziwienie. — A pan starszy zkąd się tu tak rano wziął?

— Zkąd się wziął? Ot, wesoly z was człowiek, pan Gawroński! Zkąd się miał wziąć? Z nieba spadł... A co nowego słyszać?

— I... coby tam miało być nowego? Stara bieda i tyła... — Gawroński poskrobał się w głowę. — Człowiek od kłopotu i dospać nie może...

Fedorenko obejrzał się na strony.

— A gdzie to, pan Gawroński, ta dziewczyna, co to u was służy?

— A hajno w polu... Tylko że to ona u mnie służyć nie służy, ino tak na dnie wyrabia.

— A paszport jej u was jest?

— A dyć leży w półskrzynczu... Co ta taki paşport!... — Wzruszył ramionami.

— No, tak ja jego do kancelaryi wezmę i dziewczynę wezmę...

— O lo Boga! A to bez co?

— Czort znajet. U mnie naczałstwo jest, i rozkaz jest, i służba. Tak ja po służbie idę i po rozkazie idę. A co mnie robić? Jaby wolał w spokojstwie żyć. Tak cóż, kiedy nie można. U mnie dziś żonka chora, a mnie trzeba tam iść, i tam iść... Ot co!

Gawroński w głowę się drapał i językiem cmokał.

— O lo Boga, lo Boga!... Adyć my jeszcze wszystkich kartofli nie wygrzebali, a tu pluchoty idą... A niechże cię z taką robotą!... Choroba mi nadała taką dziewczkę brać...

Weszli do izby. Po chwili wyszedł z niej sam strażnik z czerwonym papierem w ręku i prosto się ku dziewczynie skierował, oczyma po ziemi wodząc, aż obaczywszy w bruzdzie czapkę pana sekretarza, obejrzał się, podniósł ją i szybko pod płaszczy chował. Od karczmy ukazał się teraz Gawroński, wciąż marcotny i skrobiący się w g owę. Kilkanaście kroków uszedł i stanął, nie wiedząc, czy iść ma, czy zostać.

Hanka, ujrawszy strażnika, nie okazała wielkiego zdziwienia. Usta jej tylko nieco zbieleły i ręce trząść się zaczęły. Niżej się tedy jeszcze ku ziemi schyliwszy, wygrzebywała palcami kartofle, bo motyki jakoś utrzymać nie mogła. Tuż przy niej był Fedorenko, kiedy się nagle rozprostowawszy, podniosła ku niemu twarz mroczną, postarzałą jakby od wczoraj.

Chwilę tak stała ciemna i szczupła na tle pochmurnego ranka, słuchając, co strażnik mówił, po-

czem zabrała swoje manatki i ku karczmie poszła. Fedorenko szedł za nią; niepokoiła go obojętność dziewczyny. Zbliżyli się do Gawrońskiego.

— Ostańcie z Bogiem, gospodarzu! — przemówiła posępnie Hanka. — Będzie tam jeszcze ze dwie kupki niewyzbieranych kartofli w redlinie, a tu macie worek i motykę.

Gawroński skrobał się w głowę.

— Adyć cię tam trzymać nie będą, kiej nie mają za co. Wrócisz, to i wybierasz.

Dziewczyna schyliła mu się do kolan.

— Ostańcie z Bogiem!

— Idź z Bogiem! — odrzekł karczmarz miękkim jakimś głosem. Żal mu się teraz zrobiło tej cichej, śniadej dziewczyny, od której pies jego podwórzowy lepsze miał wygody.

— Brr... zimno! — przemówił, otrząsając się, Fedorenko. — Tak myby może, pan Gawroński, wódeczki się napili?

— Czemu nie! Żeby tak o co, jak o to...

Poszli we troje ku karczmie. Fedorenko i Hanka zatrzymali się przed progiem; szynkarz wyniósł flaszkę i kieliszek.

— W ręce wasze, panie starszy...

— Na wasze zdrowie!

Fedorenko wypił, otrząsnął się, splunął i kieliszek karczmarzowi oddał.

Gawroński do Hanki się zwrócił.

— Naści i tobie, mizeroto, zagrzej się...

— Bóg wam zapłać za wszystko dobre.

— A wracaj się, jak cię ino puszcza...

Nie odpowiedziała i pierwsza w stronę miasteczka ruszyła. Droga leżała przed nią równa, prosta, szara. Wiatrak stał we mgle bez ruchu, wilgotne pary rozwlokły się po polach szeroko. A kiedy tak szła wśród tej pustki głuchej, słysząc za sobą człapiące kroki strażnika, wydało jej się, że znów nad nią huczy owa wielka, wielka woda.

.

IV.

Koza w G. niewiele się różniła od innych tegoż rodzaju instytucyi małomiasteczkowych. Zabite deszczulkami okienko rzucało skąpe światło na błotnistą podłogę, odrapane ściany krzywiły się każda w inną stronę; pod jedną ze ścian tych stała brudna, wąska ława, przed drugą słychać było wesołe krzężkanie magistrackiej trzody. Grube płachty pajęczyn zwieszały się od pułapu i po mrocznych kątach, garść słomy leżała pod oknem, pieca wcale nie było. Zbytkową część budynku stanowiły drzwi, nieheblowane wprawdzie, ale z nowych, mocnych desek wielkimi bretanami zbite, na urząd dopasowane, rydlem i kłódką z zewnątrz opatrzone.

Koza w G. nigdy nie bywała pusta. A jeśli w niej nawet chwilowo lokatora brakło, wstawiano tam stare beczki od kapusty, zesypywano wióry, plewy, ogrodowiznę, łupiny od jarzyn—co Bóg dał.

Powietrze też było tu ciężkie, duszące, zastarzałym jakimś kwasem przejęte, a przegniłe przyciesię od strony chlewika sączyły wilgoć nieustanną.

W takiej to kozie od trzech dni siedziała Hanka, kiedy wpuszczono do niej nową lokatorkę. Była to Walera, wesół towarzyszka Calika, amatorka spódnic z wszywkami i pończoch w paski, które po długich poszukiwaniach i licznych przygodach udało się wreszcie odebrać pani kasyerowej, w stanie pozostawiającym coś nie coś do życzenia.

Hanka tylko co przeżyła silny paroksyzm febry i, leżąc nawznak w gorączce, szklistem oczyma wodziła po brudnym pułapie. Brudnego pułapu nie widziała wszakże, tylko napelniony niebieskawym dymem tytuniowym pokój kancelaryjny, w którym ją Fedorenko przed wielmożnym sekretarzem trzy dni temu stawiał. Pokój ten pusty i mroczny majaczył teraz przed dziewczyną, jak otchłań bezdenna, z głębi której czerwone źrenice pana sekretarza gorzały ku niej, niby dwie latarnie. Przewróciła się na bok, nie mogąc znieść ich widoku, i przyknęła oczy. Wtedy w uszach jej zaczęły skrzypieć i zgrzytać wiatrakowe śmigły, a w ich pisku słyszała wyraźnie świszczące szepty: Czego się zrywasz, głupia... głupia... głupia...

Szepty te zmieniły się po chwili w jakiś jęk przeciągły, który nie wiedziała, czy szedł z ziemi, czy z nieba, czy z jej własnej piersi; potem zahuczał gdzieś dzwon i huczał, huczał, aż w huku tym zabrzmiał rozkaz pana sekretarza: Na trzy dnia do komórki, a potem do mnie, do prania... Woni! — Zerwała się i siadła. U drzwi słysząc było krzyki, płacz i sza-

motanie. Zaciśnęła zęby i pięście. Zdawało jej się, że to ją ciągną już do tego prania, i że się ona bronić musi, musi...

Nagle rygiel odskoczył, a wepchnięta do izdebki Walera znówu się z wrzaskiem do drzwi rzuciła, łząc strażników, na czem świat stoi, dopóki kłódka nie została zamkniętą, a kroki odchodzących nie ucichły zupełnie. Wtedy uspokoiła się w jednej chwili, obejrzała, otarła oczy, a poznawszy siedzącą na słomie Hanke, przyskoczyła do niej i na znak radości z tak szczęśliwego spotkania z całej siły ją kulakami okładając po plecach zaczęła.

Oprzytomniwszy w ten sposób Elorą, na słomę się przy niej rzuciła, i przerywając sobie cochwila klątwami i śmiechem, rozповідаła, w jaki ją sposób razem z Calikiem na Utracie chwycono. Chwycenie to wszakże niebardzo ją martwiło.

— Co oni mi tam robią, pogańskie dusze! — kończyła z wielką fantazyą. — Koza... wieika mi rzecz, kozal! A cóż to ja kozy nie znam, czy co? I jeszcze co to za kozal! Powiadała mi Korbielakowa, że tu cała jedna ściana taka zgnila, że jakby kto dobrze kichnął, toby się to wszystko do licha rozleciało. Żeby ich!...

Obejrzała się po kątach.

— A co oni? drugiej słomy dla mnie nie dali?

Skoczyła do drzwi i zaczęła w nie bić pięścią.

— Nie szumi! — odezwał się głos przeciągły z zewnątrz.

— Ty sam nie szumij, sadło niedźwiedzie! — wrzasnęła Walera. — A czemu to wy nam drugiej słomy...

my nie dali? Idź zaraz dokładaj panu burmistrzowi, co tu na dwie tylko jedna słoma. Żeby was!...

Uciekła na chwilę i, jak stała, tak przykucnąwszy przy drzwiach na ziemi, głowę rękami podparła i szlochać zaczęła. Wyszlochawszy się, na barłóg poszła, wpoprzek się na nim rzuciła i wkrótce chrapnęła głośno.

Hanka siedziała ciągle z twarzą rozpaloną, wyciągniętą szyją i wlepionym w kąt izby wzrokiem. Wzrok ten wyrażał najwyższą, graniczącą niemal z obłędem trwogę. Splecione jej ręce obejmowały kolana, dreszcz wstrząsał jej szczupłym, wątłym ciałem. Ubiegła tak godzina, ubiegły dwie, a w miarę zapadającego zmierzchu zaczęły się po kątach z piskiem gonić szczury, żerujące tu na resztkach głądów po niedawno sprzątniętej kapuście. Z za ściany dolatywało głuche krzakanie. Walera chrapała, jakby ją kto dusił. Coś ohydного było w tych szmerach, toczących ciszę tej brudnej izby, jak czerw toczy trupa...

Hanka usiłowała myśleć. Nigdy jej to łatwym nie było, a teraz przychodziło z podwójną trudnością. Myślała jednak.

...Trzeci dzień siedzi już w kozie... Trzeci raz słyszy, jak szczury żerują nocą... A pan sekretarz mówił: na trzy dni w komórkę... A potem... do prania... do niego...

Wstrząsnęła się.

Kto jej to mówił kiedyś, że... aha, Walera mówiła Korbielakowej... Walera śpi... O, jak to chrapie... Nie, to Korbielakowa powiadała, że tu ściana zgnila...

Obróciła się z trudem za siebie.

...Która też to ściana?... Matko najświętsza, jak jej też w głowie huczy! Żeby tak choć jedna deska...

Opuściła ręce i, wsparty się niemi na barłogu, usiłowała powstać. Ale tylko ramiona dźwignęła w górę i znów opadła.

...Nie pójdzie jutro do prania... Ani jutro, ani nigdy... nie pójdzie do niego... Żeby się ta święta ziemia pod nią rozstała—nie pójdzie! Tak jej Pannie Boże dopomóż i wszyscy „święci...”

Wyciągnęła rękę, a natrafiwszy poomacku dzbanek, wypila resztkę wody.

Upłynęła jeszcze godzina. Sen morzył dziewczynę, ale gorączka ustąpiła nieco.

...Jeśli to prawda, że tu ściana zgnęła, to chyba ta, co przy niej beczka stoi... Widziała we dnie, że tam deska spaczona odstaje i że przez nią dzień świta.

...O Matko Przenajświętsza!... żeby też tak...

Nie dokończyła swojej myśli, ale jakby dźwignięta jej siłą, wstała i macając wzdłuż ściany, do beczki szła wśród pisku spłoszonych szczurów. Doszedszy, rękoma się jej wierzech chwyciła, bo ją znów zimno ogarniać zaczęło, i stała tak, dygocząc całą i szczękając głośno zębami. W głowie jej huczało, zapomniata, gdzie jest i po co tu z barłogu się przywlokła; instynkt wszakże jakiś trzymał jej zacisnięte ręce, a usta poruszały się same przerywanym szeptem: ...O Matko przenajświętsza...

Oprzytomniała wreszcie, ścisnęła szczękające zęby i, wszystkie siły zebrawszy, beczkę piersiami i rękoma pchnęła. Beczka wszakże nie poruszyła się z miejsca. Wtedy dziewczyna zagłębiła w niej rękę i przekonała się, że prawie pod wierzech nasypała

jest plewami. Schyliła się tedy i zaczęła je wybierać z gorączkowym pośpiechem. Pot wystąpił jej na twarz, nogi się pod nią trzęsły, ale kupa plew rosła, a tuż do niej zbiegały się żerujące szczury. Poruszyła się wreszcie beczka z głuchem dudnieniem, a przyciśnięta nią poprzecznie do połowy deska więcej jeszcze odchyliła się od zrębu. Hanka przysiadła na ziemi i, dysząc ciężko, odpoczywała przez chwilę. Potem nagle za deskę chwyciła, ciągnąc ją do wnętrza. Ciągnęła, odpoczywała i znowu ciągnęła, usiłowania jej wszakże długo były daremne. Dziewczyna przecież nie puszczała deski. Paznogie jej, konwulsyjnie w drewno wszczepione, krwawić zaczęły, zaciśnięte zęby nie przepuszczały już teraz żadnego szeptu, jakaś rozpaczliwa energia rozdymała jej nozdrza, a świszczący oddech coraz chrapliwszym się stawał.

Zatrzeszczała wreszcie nadgniła deska raz, potem drugi raz i trzeci, aż pękła wpośrodku ściany, a ciągnąca ją do siebie dziewczyna nawznak zamroczona padła. Zimne wszakże powietrze nocy, szeroką falą wpływające teraz do wnętrza komórki, orzeźwiło ją prędko. Zerwała się i ku Walerze, nadsluchując, wyciągnęła szyję. Walera spała mocno, chrapiąc przewlekłe żalosnym, minorowym tonem. Przyklękła wtedy Hanka i wsunęła głowę przez otwór zrobiony w ścianie. Cicho było dokoła i ciemno. W ciemność tę wpatrzyła się dziewczyna chciwie, jakby ją piła wzrokiem. Przesunęła się potem cała na drugą stronę ściany i z bijącym sercem przy niej stanęła, niepewna, którędy uciekać. Wtem przypomniało jej się, że zostawiła na barłogu swoją wielką chust-

kę. Pokiwała głową i westchnęła, poczem skuliwszy się jak mogła, chyłkiem pod ścianami na tyły zabudowań gospodarskich wyszła. Kołowrot tu stał, który pod ręką dziewczyny skrzypnął lekko. Skrzypnięcie to uderzyło w nią nagle jakimś przypomnieniem. Sięgnęła do kieszeni i, wzięwszy z niej dużą miedzianą dziesiątkę, którą pan sekretarz dał jej był w polu na wódkę, na słupku ją położyła.

Przez chwilę jeszcze widać było drobną postać uciekającej dziewczyny w stronę pola, poczem postać ta wsiąknęła w ciemność i znikła...

.

V.

Mżyło. Zimny i chmurny dzień miał się ku schyłkowi, coraz grubszy zachodzić zmierzchem. Gromady robotników i robotnic, wypuszczone z śródmiejskich fabryk, rozbiły się na pojedyncze kupki, drobniejące w miarę zapuszczania się w odleglejsze uliczki ubogich dzielnic miasta. Gwar ich rojny i nieokreślony zrazu stał i przycichał stopniowo, zmieniając się na wyraźniejsze rozmowy dążących w jedną stronę towarzyszy. Środkiem ulic szli ciężkim krokiem murarze, niosący cebrzyki, kielnie, sznury lub kawałki drzewa, to w ręku, to na plecach, jak któremu dogodniej się zdało; obok, po stronach, uadgały im kroku najemnice w białych płóciennych świt-

kach, z czerwono-żółtymi od pyłu ceg'anego twarzami.

Pomiędzy tą rzeszą ludzką, posuwającą się hałaśliwie, zamasyście, śmiało, snuł się wzdłuż parkanów cień drobny, skulony, trwożliwie rozglądający się dokoła. Była to Hanka. Szła szybko, ostrożnie, popychana usuwała się, znikając niemal, starając się tyle tylko zabrać miejsca, ile koniecznem było do postawienia dwóch stóp bosych, w drewnianych trepkach tkwiących. Chude jej łokcie przyciśnięte były do boków szczelnie, ręce głęboko wsadzone w rękawy zwiśającego z pochylonych pleców kaftana, mała, szara chusteczyna, na głowie związana, niedostatecznie okrywała ciemne włosy. Była to ta sama chusteczyna, którą Hanka w zanadrzu nosiła ze swemi dziesięciu złotemi; teraz w nią wiązać nie było co, a kupno trzewików przeszło w sferę niedościgłych marzeń.

Tydzień już minął od owej nocnej ucieczki z magistrackiej kozy, a dziewczyna teraz dopiero wkraadała się do Warszawy pod osłoną wieczornych mroków i rojowi-ka wracających gromad robotniczych. Instynktem jakimś wiedzioma, z miejsca zaraz odbiła się daleko na stronę, a unikając gościńca, nie ku Warszawie, ale ku Mszczonowu się pąciła, po zaroślach nocując, manowcami idąc, a do ustronnych karczmi rzadka tylko, dla ogrzania się i kupna chleba zachodząc. Jak jej na to wszystko rozumu starczyło—dziwowała się sama sobie. To, na co się ważyła pod wpływem gorączki i nieokreślonej zgrozy, obudziło w niej ducha głuchego buntu i oporu. Było to uczucie nowe dla niej i sprawiające dziwoty przewrót w jej biernej, trzyletniem więzieniem do reszty zgłuszo-

nej naturze. Czyny jej i ruchy tępej zawsze myśli i teraz były przeważnie instynktownemi; ale instynkt ten zaostrzył się, odkąd mu w pomoc przyszła posępna świadomość, że sam na siebie liczyć tylko musi. Kluczyła tedy dziewczyna w tę i ową stronę, jak zwierzę obławę ścigane; dwa razy przeleżała w torfiarskich szopach w febrze, psy poszarpały na niej odzież, wyschła z głodu i niewczasu, i teraz dopiero, kiedy ją wszystkie siły odeszły, zawróciła i, zakreśliwszy w swej drodze szeroki łuk, zaczęła się zbliżać ku Warszawie, omijając gościniec, a tylko zdala kierunku się jego pilnując. Warszawa zdawała się jej uchroną najbezpieczniejszą. Instynktem odgadywała, że jak gąsienicy na liściastym krzewie, tak i jej łatwiej się będzie ukryć w wielkiej ludzkiej gromadzie. Przeszła jeden zaułek, przeszła drugi, pod mury, pod parkany się cisnąc i ginąc w cieniu, aż dopadła furtki niskiej, odemknęła ją do połowy i, przemknąwszy się, na podwórku, zawalonem tarcicami i kłocami drzewa, stanęła. Posesya nie miała frontu, ale po obu stronach podwórka wznosiły się oficyny. Hanka, dobrze widać drogi świadoma, skreśliła na lewo, w sień weszła i, schyliwszy się pod brudne, błotniste schody, zaczęła się spuszczać w czarny otwór, do suteryn wiodący. Ciemno tu było jak w rogu, a idąca dziewczyna potknęła się dwa czy trzy razy, to o szaflik z mydlinami, to o miotłę i łopatę stróża. Kierując się wszakże wzdłuż wilgotnej ściany, doszła do drzwi ostatnich, na które, przez zatkane do połowy wiechciem słomy okienko, nieco światła od latarni padało, drzwi te pchnęła i w odzwierku schyliła się, wchodząc. Zrazu nie widziała nic przed sobą, gdyż

izbę wypełniały kłęby pary, unoszącej się z balii, która zajmowała honorowe miejsce przy kominie. Tylko plusk wody i tarcie bielizny, w połączeniu z głośnem sapaniem, oznajmiały obecność praczki Walentowej.

— A kto tam?—odezwała się od balii baba, kiedy drzwi pchnięte uderzyły klamką o ścianę.

Hanka nie odrzekła zrazu, tylko ciężko dysząc, o odzwierzek się wsparła. Obtartszy tedy czerwone ręce z mydlin w mokry fartuch, Walentowa do drzwi podeszła.

— Wszelki duch... a toć to Hanka! — zawołała napół z dziwem, napół z radością. — A odstępże ode drzwi, Hanuś! a pójdzże na izbę!

Odrzuciła z drogi pęk brudnej bielizny i pociągnęła dziewczynę za sobą. Hanka dała się prowadzić jak dziecko. Suchy kaszel wstrząsał nią całą. Walentowa zwróciła ją twarzą do komina, nad którym paliła się lampka mdłym, migotliwym światelkiem, a sama stanawszy przed dziewczyną, żałośnie w ręce klasnęła.

— Patrzajcież, moi ludzie, co oni z niej zrobili!.. A to ci ją wyblechowali, jak na blechu... A to ci z niej węcęę zrobili... Naści, popij trochę—dodała, poczerpnawszy wody półkwartkiem ze zbutwiałej konewki.

Hanka, uspokoiwszy się nieco, wodę wypila, pocałowała Walentową w rękę i objęła za kolana. Baba przytuliła ją do szerokiej, spoczonej, przesiąklej wonią mydlin piersi. Uścisk ten przepelnił serce dziewczyny. Padła na stół i głośno płakać zaczęła. Walentowa stała nad nią, kiwając głową.

— A to ci ją zmizerowali, niech ich choroba! A to ci ją ususzili!... Dziewczynyna była jako kwiat, a teraz spojrzeć niema na co... I cóż ty poczniesz, chudobo?... Na dobre cię puścili?...

— Ale! Na dobre tam...—przemówiła wreszcie Hanka i znów mocno płakać zaczęła.

Zaniepokoiła się Walentowa.

— To i jakże ty, Hanuś...

— Bijcie mnie, zabijcie, ale mi się o nie nie pytajcie!—odrzekła Hanka z jakąś rozpaczą w głosie.— Aby tę nockę u was przebędę, a potem niech się co chce dzieje...

— Widzieliście, moi ludzie, głupia?—przemówiła Walentowa, pod boki się rezolutnie ujmując. — A co to my nie swojaczki, czy co, żebyś ty u mnie poratowania nijakiego nie miała? Nie byłam to twemu ojcu kumą, co mi jeszcze półpięta złotego pożyczył na drogę do Częstochowy, świeć Panie nad jego duszą...

Hanka znów po jej rękę sięgnęła.

— Nie gniewajcie się, moi złoci! moja Walenta! Już wam wszyściusko opowiem, tylko mnie ten żal odejdzie... moi święci!

Baba się udebruchała.

— To czekajże, Hanuś—wyrzekła po chwili z namysłem.—skoczę ja do sklepiczarki, prania licha nie weźmie, nagotuję ci herbaty, przyniosę bulek, boś ty i głodna może, mizeroto...

Chwyciła z łóżka chustkę, zarzuciła ją na głowę, zakrzętnęła się po izbie i wyszła.

Hanka oparła się plecami o wilgotną ścianę i przyknuęła oczy. Ciepło ją rozmarzyło, blada jej twarz pokryła się kroplami potu, spuszczone rzęsy

rzucały długie cienie na wychudłe policzki, uboga odzież podnosiła się nierównym ruchem na wstrząsanych ostatkiem łkania piersiach. Po chwili uspokoiła się i—przejęta wilgotnem ciepłem izby—zasnęła.

Walentowa tymczasem wróciła, rozdmuchiwała przygasły ogień, przystawiła garnczek, na stole położyła kawałek wędzonki i kilka bułek, znów się schyliła, dmuchając pilnie na ogień, który jaskrawo oświeślał jej szeroką, pocziwą twarz mazurską,—a kiedy wszystko było gotowe, stanęła przed Hauką, nie wiedząc, czy ją budzić, czy nie budzić...

Dziewczyzna miała oczy uiedomknięte, zmrużone, a usta zaciśnięte żałością. Wyraz cierpienia przywarł do jej twarzy maską pełną głębokich, tragicznych cieniów. We dnie twarz tę młodą a znędzniałą szpeciła tępość jakaś, jakieś oglupienie, które po brutalnych ciosach życia, jak po ciosach obucha, zostaje. We śnie panował na niej bez podziału ból i czynił ją na swój sposób piękną.

Walentowa nie zdawała sobie z tego sprawy, a jednak stanąwszy przed dziewczyną, była jakby pod wpływem jakiegoś uroku. Załamała grube, czerwone ręce, kiwając głową, a na usta przychodziły jej słowa pacierza, jakby nad umarłym.

— Matko Boska Częstochowska! Matko wielkiego miłosierdzia! Co oni z niej zrobili, pogany... Dziewczyzna była jak róża, jak łania, a teraz rodzony ociec by jej nie poznał... ptakby jej zapłakał... Iuó ją do trumny kładź, taka ci bledzińska... Oj, skrzywdziły ją, pogany, skrzywdziły, niech ich Bóg skarze!... A psik!—zawołała nagle na burego kota, który, zapachem wędzonki zwabiony, z komina skoczył

i, najeżywszy grzbiet, w kabłąk wygięty, obcierał się, mruczając, o leżące na stole specyały,—a psik, ty zle nasienie! A bodajżeś...

Nazajutrz stanęło na tem, że dopóki dziewczyna się nie odgryzie, Walentowa nie puści jej od siebie.

...A cóż to ona nie kuma? A w stancyi albo to roboty mało? Choćby tylko tyle, co wody przenieść i strawę uwarzyć, to i tak się dziewczucha przygodzi. A i to jest człowiekowi markotno, że gęby w izbie nie ma do kogo otworzyć, i sam się jak kołek obraca po tych czterech kątach... Żeby tak, Boże zachowaj, choroba, toby kropli wody podać nie było komu. Już się dziewczynie noga powinęła, co prawda, to prawda, niech ją tam pan Jezus sędzi. Ale równo się sama ze siebie na zle nie puściła, imo z tego głupiego kochania. Wiadome rzeczy... Jak się chłop ladaco zaweźmie, to i najpoczciwszą skusi.

Decyzya, która po tem rozumowaniu w statecznym umyśle pani Walentowej stanęła, była niewzruszona. Nie puści dziewczuchy od siebie—i tyle. Hanka ze strachem jakimś przyjmowała nadzieję nowego życia i spokoju. Nie dowierzała swej doli. Przez pierwsze dni chodziła około porządku w izbie jakby zatrwożona, to we drzwi, to w okienko raz wraz poglądając. Na trzeci dzień oswoiła się nieco, na Walentową zaczęła wołać „ciotko,“ głaskała burego kota i snuła się koło komina cicha, rozradowana, z twarzą, której śniadość zdawała się ustępować przed jakimś światłem, z wnętrza bijącym. W [oczach jej tylko zostały dawne cienie, właśnie jak te mroki, co się po lasach kryją, kiedy już cała okolica pełna jest światła.

Na czwarty dzień siedziały obie kobiety w południe przy misce, kiedy drzwi skrzypnęły i stróż wszedł do izby. Hance łyżka wypadła z ręki.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków. A co tam nowego Pan Bóg dał?

— A wedle meldunku...

— Jakiego zaś meldunku? Abom to się nie meldowała? Abom to „karty pobyt” nie wykupiła?

— Ja też do pani Walentowej nie mam nijakiej sprawy, ino do tej panny.

Zaperzyła się praczka. Hanka mocno trząść się zaczęła.

— No to co? To i ta panna będzie miała meldunek i kartę pobyt. Cóż to pan Franciszek rozumie, że to, nie przymierzając, taka, jak te z drugiej oficyny? U mnie się takie rzeczy, chwalić Boga, nie najdują!

Stróż czapkę na głowie przekręcił i skrobał się za uchem. Wymowa pani Walentowej imponowała mu widocznie; postanowił wszakże być nieugiętym.

— A co mnie tam kaci do kogo! Ja porządku patrzę w kamienicy, bo mam z tego chleb. A panna niech meldunek szykuje, bo ino patrzeć naczelnika... Ja tu zaś przyjdę pod wieczorz...

Cofnął się i drzwi za sobą zamknął.

Kobiety spojrzwały po sobie. Hanka miała wzrok przerażony, Walentowa kiwała głową. Znała już historię czerwonego paszportu dziewczyny.

— Na śmierć ci zapomniałam, że tak teraz z temi meldunkami pędzą... Bodaj ich choroba!

Hanka wybuchnęła płaczem.

— Oj, nie dajcie mnie od siebie, ciotko, na stracenie, nie dajcie!...

— Cicho! cicho! — uspakajała ją praczka. — Może to jeszcze wszystko Pan Jezus przemieni...

Głaskała ciemne włosy dziewczyny wielką, szorstką dłoń, ale w mięsistym jej obliczu znać było ciężką troskę.

Nadszedł wieczór. Hanka ze drżeniem oczekiwała nkazania się stróża, ale stróż nie przyszedł. Nazajutrz nie przyszedł także. Otucha wstąpiła w serce dziewczyny.

— Może też Pan Jezus da... — powtarzała sobie w duszy. Co ma dać, nie wiedziała dobrze, ale się wiary tej chwyciła, jak deski zbawienia.

Upłynął tydzień, była niedziela. Walentowa wybrała się po pieniądze za pranie do „kawalirów z przeciwka,” gdy w bramie niespodzianie natknęła się na pana rządce. Pan rządca był człowiek młody, elegancki, w kamienicy nie mieszkał i zaglądał do niej jak mógł najrzadziej. Właśnie odbywszy to, co nazywał pańszczyzną, naciągał rękawiczkę, kiedy mu baba w drogę weszła. Przystanął, zapinając guziczek, i zatrzymał ją skinieniem głowy.

— Co mi to tam stróż mówił, że pani jakąś dziewczynę u siebie bez meldunku trzymasz?

Zatrwożyła się praczka, ale nie straciła miły.

— Iii... cobym zaś miała kogo trzymać, proszę łaski pana. Tak się ta do mnie przygarnęło mizeraetwo jedno, żeby aby febrę zgubić... A stróżby lepiej patrzył tych hamanów z tamtej oficyny, co też całe dnie i noce obrazę boską robią...

— No, a ja panią przestrzegam, żeby tego nie było. Albo dziewczynę meldować, albo niech rusza, z kąd przyszła. Ja za nią odpowiadać nie chcę. Rozumie pani?

Walentowa pocałowała go w rękę.

— I... co ta proszę łaski pana! Kto tam potrzebuje zara o tem wiedzieć. Niech ta jeszcze z jakiego tydzień posiedzi, co aby zimno zgubi. Adyć tu ona nijakiego placu nikomu nie zastępuje...

Zniecierpliwiony rządca językiem o podniebienie klasnął.

— Ale co to za głupie gadanie! Przecie ja za to jestem odpowiedzialny, karę mogę zapłacić, z rządcostwa, do licha, wylecieć. Cóż to, nie wiecie, jakie teraz porządki?

— Adyć wiem, wiem, proszę łaski pana...

— No więc, jak wiecie, to dobrze.

Odwrócił się.

— Franciszek! Meldunek od dziewczyny tej dziś ściągnąć, słyszysz?

— Słyszę, proszę pana.

Pan rządca zapalił palto pod szyję, zapalił cygaro i poszedł. Walentowa chwilę stała w bramie z wyrazem mocnego namysłu w grubej twarzy i małych siwych oczkach, poczem się zawróciła do stancyi. Przez dziwną jednak delikatność serca, właściwą wielu prostym kobietom, choć obcą niejednej damie „z towarzystwa,” o spotkaniu swoim z rządcą nie odezwała się do Hanki ani jednym słówkiem, tylko się po izbie pokręciwszy, jakby zapomniała czego, wyjęła z półskrzynka węzełek z pieniędzmi, nie będąc widać zbyt pewną owych kawalerów z przeciwna, i je-

dną jeszcze chustką obwiązawszy głowę, na miasto poszła.

Hanka tymczasem nagotowała obiad i, przykrywszy garnuszki, u komina siadła, patrząc na czerwone węgle i modre płomyki. Siedziała, kiwała głową, medytując i wzdychając ciężko. Od owego pojawienia się stróża była ona jak trawa, po której wichry idą. Ani dla niej snu w nocy, ani spokoju we dnie. Po kątach tylko ugląda, a patrzy, a nasłuchuje, z której strony złe na nią przyjdzie... A serce się w niej trzęsie, jako ten liść osikowy na podzimie. O Jezuc, Jezuc! I coby to komu szkodziło, żeby o niej ludzie zapomnieli, żeby już tu tak zostać mogła do jakiego końca...

Obejrzała się po izbie.

— A toś jej tu tak jest, jakby do rodzonej matki trafiła. A toćby ona, wstając, kładąc się, Bogu dziękowała... Prawda, że wielkiego zdrowia Pan Jezus nie dał; ale równo, wezwawszy Boga na pomoc, dzień albo i dwa przy balii przestoi... Oj prałaby, prała z Walentową, inoby się migoty robiły... Oj, po co to ludzie wymyślili te meldunki, po co!...

Kiwała jeszcze głową, ale już myśleć przestała. Duszę jej tylko zalała wielka gorycz, której smak czuła niemal w kurczowo zaciśniętych ustach. Niedawno jeszcze bała się ludzi, teraz zaczynała ich nienawidzić. Węgla na kominku wygasły, w izbie zrobiło się ciemno.

Jakiego rodzaju były zabiegi Walentowej podczas kilkugodzinnej wyprawy na miasto, nikt nie wiedział o tem; ale powróciła z niej rześka, wesola, odmłodzona jakby.

— Słuchaj, Hanuś—szepnęła od proga zrywającej się ku sobie dziewczynie. — Chustkę moją bierz i chodźma...

Hanka stanęła wpośrodku izby, niepewna i zadziwiona.

— Dalej, dalej...—nagliła praczka,—nie marudź, bierz chustkę, póki się ten zapowietrzony kożuch nie zmiarkuje...

Epitet ten stosowała pani Walentowa do stróża, z którym w ciągłej żyła kolizyi z powodu mydlin, wylewanych, jak utrzymywał Franciszek, „na samym trakcie.“

Zakręciła się dziewczyna, ręce jej się trzęsły, nogi plątały, o mało się nie przewróciła przez burego kota. Znalazła wreszcie poomacku chustkę, zarzuciła ją na głowę i wyszły, ostrożnie przywierając za sobą drzwi skrzypiące.

Szły śpiesznie i cicho. Hanka zatrwożona w sobie, Walentowa sapiąca z ukontentowania, ale także czegoś wzruszona.

— To jakże będzie, ciotuchno?—zagadnęła dziewczyna, kiedy się już znacznie oddaliły od domu.

— Jak ma być? Dobrze będzie. Pan Jezus miłosierny dopomógł i tyła. Nie mój w tem rozum i nie moja wola, ino ludzki rozum i boska wola. A ty się nic nie frasuj, nic sobie do głowy nie dopuszczaj, ino się do roboty bierz...

— A gdzie mnie dajecie, moi złoci?...—nalegała Hanka.

— Gdzież cię to mam dawać? Do ludzi cię daję. Znalazłam ci taką służbę, że to ha. Te dwa kawaliry z przeciwka, co to do nich chodziłam po pieniądze, to

ci się jeden ożenił i aże na drugi koniec miasta wyciągnął, co mu rządcostwo dali za mieszkanie. Tak idę ja do niego i mówię mu tak i tak, co tu dziewczyna jedna jest, ino że jej stary paszport wyszedł, a nowego jeszcze nie dosłali...

— O Jezu! — przerwała Hanka wystraszonym głosem.

— Ino cichoj, cichoj! — ofuknęła ją ostro Walentowa. — Nie mój w tem rozum, ani twój, ino mądrzejszej głowy dorada... A Pan Jezus miłosierny grzesznemu człeku odpuści, choć się ta co i nie tak akuratnie powie... Ino, że trza będzie we gminie pisarza ujednać...

Hanka zamilkła. Nie o grzech jej szło, ale się bała, żeby jej ten wykręt w gorszą jeszcze matnię nie wpędził. Spuściła głowę i posępnie się obok praczki wlokła.

— Jak ja jemu to powiadam, tak on do mnie: Z niebaście, moja kobietko! Żeby tak co porządne-go, toby my zaraz sami ją wzięli, bo nas ta baba pijaczka, co tu na obsługę dochodzi, do cna zmarnuje...

— Tak ja go w rękę. Czemu nie, proszę łaski pana. Dziewczyną jest, co się nazywa. Tak on znówu: Bo widzicie, moja kobietko, ja tu meldunki w kamienicy trzymam, toby się to jakoś jedno z drugim tymczasowie polatało. Tak ja go znów w rękę... Co prawda, to mi już więcej jak pół roku za dwa ręczniki i pięć kołnierzyków od prania winien. Ale myślę sobie: Zarówno tam! Nie będę mu się upominała. Abo ta człowiek ma tę parę groszy, abo nie ma...

Machnęła ręką i zamilkła.

Tegoż dnia jeszcze odbyła się instalacya Hanki na nową służbę. Dziewczyna szła do niej, jakby na stracenie, tak się już bała tych ciągłych odmian, z których każda przynosiła jej nową biedę. Walentowa fukała na nią zrazu, ale kiedy przyszło do rozstania, jej samej po czerwonych, gąbczastych policzkach puściły się łzy drobne, jasne, szybkie...

Młodzi państwo zachwyceni byli swoją nową służącą. Wogóle zachwycali się oni jeszcze wszystkim, a najbardziej sobą. Pierwsza to była prawdziwa sługa na ich własnem gospodarstwie; zdawało im się też, że sami przez nią nabierają powagi, znaczenia. Szczególniej pochlebiało to pani, która, skazana dawniej na przymusowe milczenie w towarzystwach damskich, teraz razem z innemi mogła zabierać głos w niewyczerpanej nigdy kwestyi sług złych i dobrych. Trzeba też było widzieć, z jaką dumą zaczynała dyskurs od słów: Moja służąca... lub: moja Hanusia... Była to prawdziwa rozkosz.

W Hance także dusza tajała powoli, a chmurne jej oczy zaczynały miewać spojrzenia ciche i słodkie. Walentowa odwiedzała dziewczynę zrazu często bardzo, przynosząc jej to fartuch jaki, to podszarzaną spódnice, to poduszczykę, to koldrę, wylataną przez siebie; potem przychodziła rzadziej, bo nogi jej puchły i daleko puszczać się nie mogła. Nie było przecież niedzieli, żeby się, choć stękająca, nie przywlokła obaczyć, czy jej Hanusia krzywdy jakieś nie ma.

Upłynął tak miesiąc i drugi miał się ku schyłkowi, kiedy Blacharzówna, wybrawszy się w dzień targowy z koszem na Ordynackie, nagle zobaczyła kręcącą się po rynku Walerę. Walera wyglądała wspa-

niale. Miła na sobie piękne syberynowe okrycie i żółtą włóczkową chustkę na głowie; nie zdawało się też, żeby tu przyszła po jakie sprawunki, gdyż nie niosła ze sobą koszyka, a obie ręce trzymała w futrzanej mufce.

Odwróciła Hanka corychlej oczy i zeszła parę kroków z drogi; zdało jej się przecież, że i Walera zobaczyła ją i także się na stronę cofnęła. Po niedługiej chwili dziewczyna znów spojrzała. Obok Walery kręcił się teraz wysoki i chudy mężczyzna; szepotali coś z sobą, a Walera wzrokiem pokazywała ją towarzyszowi.

Zatrwożyła się Blacharzówna i między ludzi w największy tłok się rzuciła; ale chudy jegomość widocznie miał ją na oku i wkrótce go naprzeciw siebie ujrzała, tym razem samego.

Skręciła wtedy nagle na prawo, coraz większą uczuwając trwogę; on jednak i tu zaszedł jej z przeciwnej strony i obtarł się niemal o nią, przechodząc niby obojętnie, a w twarz jej patrząc bystro, przenikliwie. Wtedy Hanka, nie żałatwiwszy nawet połowy sprawunków, ku domowi się w najwyższym przerażeniu puściła; chudy jegomość jak cień postępował za nią, trzymając się wszakże w pewnej odległości. Dopiero kiedy już dopadała bramy, zrobił kilka wielkich kroków i, położywszy rękę na koszyku, który niosła, rzekł zcichą:

— Dasz panna rubla, to dobrze. A nie dasz, to drugie dobrze. Pójdźm do ratusza.

Zatrzęsło się serce w dziewczynie. Wiedziała teraz, że to „łapacz.“ Obróciła ku niemu twarz nagle zczerniałą, oczy jej zapłonęły posępnym błyskiem,

otwarła usta, po których przelatywało jakieś kureczone drzenie. Nic wszakże nie rzekła, tylko, popatrzywszy w ziemię, jakby nieprzytomna, sięgnęła do pańskich pieniędzy, wyjęła z nich rubla i dała.

Kapacz papierek wziął, obejrzał, do brudnego mieszka schował, spojrzął na numer domu, rozejrzał się po bramie, kiwnął głową i rzekł:

— Za tydzień przyjdę. Do widzenia z panną.

Dziewczyzna ciężkim krokiem powlokła się na górę.

Dnia tego młoda pani była cokolwiek zdziwioną nieuwagą i pomieszaniem swojej służącej. W mieście mnóstwa rzeczy zapomniiała kupić, a w domu wszystko jej z rąk leciało, jak to mówią. Zdziwienie to wzrosło jeszcze, kiedy z obrachunku pokazało się, że Hanka ze zmienionych pięciu rubli bez opowiedzenia się wzięła rubla za jakiś własny sprawunek, o który wszakże zapytana nic nie odpowiadała. Uwag swoich w tym względzie udzieliła młoda pani przy obiedzie „najdroższemu Lutkowi;“ ale ponieważ najdroższy Lutek do biura się śpieszył, jedynym przeto wnioskiem, jaki z nich wyciągnął, było to, że ucałował oba rumiane policzki „żonusi“ i wyszedł, ani o rubla, ani o pomieszanie służącej nie kłopotując się w należytej mierze.

Skończywszy w domu robotę, pobiegła Hanka do Walentowej.

Jaka tam była pomiędzy niemi rozmowa, nie podejmuje się powtarzać. To pewna, że w niej więcej łez niżeli słów było. Upływały godziny, stara praczka płakała, przeklinając zcicha dla ulżenia sobie;

Hanka, jak padła na stołek, tak siedziała na nim, w chudych rękach trzymając zwieszoną głowę.

— Choćby gdzie uciekać... — szepnęła Walentowa. Mówiła cicho, jakby się bała obudzić większe jeszcze nieszczęście.

— Gdzie? Do kogo? — odrzekła, nie podnosząc głowy, Hanka. — Zostanę w mieście, to mnie o mel-dunek ścigać będą... Pojdę we świat, to mnie, jak tego psa zapomnianego, ulapią... Abo to nademną prawo jakie, abo co?

Myliła się dziewczyna. Było nad nią... prawo pobytu.

Pod tem to prawem łamała się dziewczyna, sprawy sobie nie zdając z całego szeregu następstw jego, które ją fatalnie coraz ciasniejszym obejmowały ko-łem. Nie wiedziała o tem, bo prawo było wysoko, a ona nisko; prawo nazywało się sprawiedliwością, a ona przestępczynią; prawo było jasne, potężne, szanowne, a ona ciemna, słaba i wzgardzona.

Myliła się więc.

Tegoż dnia jeszcze objawiła „żonusia“ „najdroższemu Lutkowi,“ który już usypiał, że jedenasta dochodzi, a Hanki jeszcze niema. Na co „najdroższy Lutek“ zaproponował „żonusi,“ aby zgasiła lampę, bo mu w oczy świeci. Młodą panią to oburzyło. Dwie jasne łezki gniewu, jak iskry, zabłysły w jej modrych oczach i bardzo stanowczym głosem powiedziała mu, że on, jako mężczyzna, może być niemoralny, wszyscy

bowiem mężczyźni są, jak wiadomo, niemoralni. Ale ona inaczej była wychowana i nie pozwoli nigdy, to jest nie spodziewała się nigdy, aby... żeby...

Lecz tu „najdroższy Lutek” przykrył głowę kołdrą, a „żounsia” rozplakała się z oburzenia nad jego zatwardziałością.

Nazajutrz Hanka krzątała się cicha i uspokojona jakoy, tylko jej ruchy były powolniejsze, a w głęboko podkrążonych oczach paliły się jakieś gorączkowe blaski.

Przeszedł tydzień. Jak i kiedy—dziewczyna nie wiedziała sama. Każda godzina w dniu takim ciężka jej była, jako kamień młyński; a przecież tyle ich przeleciało nad nią, jak te kruki czarne...

...Oj dolo, dolo... Na czarnych ty skrzydłach, na czarnych piórach nad ziemią się nosisz... A nie jesteś ty, dolo, jako ten gołąb biały, ale jesteś jako ten kruk kraczący...

Był dzień piątkowy. Hanka od rana zawiązała w gałganek przyniesionego od Walentowej rubla, w kieszeń go włożyła i czekała.

Ani na rynku wszakże, ani na drodze do domu nie spotkała nikogo. Wybiegła raz przed bramę, wybiegła drugi raz—nikogo. Przeszło południe, niepokój jej wzrósł. Może się łapacz rozmyślił... może dał znać do ratusza... W męce przeżyła tam dzień i dopiero późnym wieczorem, wybiegając po wodę, spotkała go w bramie.

Stał i brudną kraciastą chustką ocierał pot z czoła.

— Ale też panna służbę sobie wybrała, niech pannę Bóg kocha! Taz to mila drogi do panny. Czyste przedpiekle...

Nie odpowiedziała, tylko, sięgnąwszy do kieszeni, rozwinęła rubla, i, obejrzawszy się, szybko mu go podała.

Łapacz się skrzywił.

— Co to panna myśli, że ja po głupiego rubla będę tutaj chodził? Daj panna chociaż z dziesięć złotych...

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem. Nie spodziewała się, że może zażądać więcej. Nie miała zresztą...

Odważyła się przemówić, a głos jej wydał się jej samej jakiś obcy, jakby nie z własnej piersi idący.

— Miejcie sumienie... I to nie moje. Zkąd ja...

Nie dał jej dokończyć.

— A co mnie do tego. Mnie tam wszystko jedno!

— Zaraz... niech ino pan tak nie krzyczy... Pójdę do pani...

Udobrachal się w jednej chwili.

— No, to ja zaczekam w bramie.

Pobiegła na górę. Pani przeraziła się jej bliskością.

— Co ci się stało? co to? z czego?..

— Nic, proszę pani. Nic. Chciałam tylko prosić o pół rubla...

Pani nie było to na rękę. Miesiąc się skończył, wydatki były obliczone ściśle, zasługi miały być Hauce wypłacone dopiero po pierwszym. Próbowwała tedy paktować.

— Na cóż ci to tak pilno pieniądze potrzebne? Wieczór już... nie przecież kupować nie będziesz...

Dziewczyna nie ustępowała, nie mogła ustąpić. Dostała wreszcie garstkę miedziaków i zaniósła je łapaczowi.

Przeliczył, wsypał do kieszeni zielonkowatego paltota i, kiwnąwszy głową, rzekł z odcieniem życzliwości w głosie:

— Bądź panna zdrowa. Jak będę miał czas, to zajrzę.

Mówił to tak dobrodusznie, jakby był najszczerzej zapraszany gościem.

Po Hance przeszedł płomień nienawiści.

...Jak będzie miał czas! Bodajżeś, go nigdy nie miał, przekłótniku! Bodajże ci brakło czasu na skonanie... na wezwanie imienia boskiego w śmiertelnej godzinie!..

Zacisnęła splecione ręce, aż jej w stawach trzasło.

Łapacz tymczasem szedł sobie zwolna ulicą, rozglądając się obojętnie dokoła. Można go było wziąć za podupadłego oficjalistę jakiego prywatnego biura. Rozmowa wszakże Hanki z obcym mężczyzną w bramie wieczorem zwróciła w kamienicy uwagę.

— Cóż to sobie panna za kawalera wybrała — zapytała, przechodząc, stróżka. — Co prawda, to mogła też sobie panna święcie inszego poszukać. A toć to jest dziad przeciw panny... Co to? tutejszy?... Wdowiec? Profesyant?

— Hi... hi... hi... Jaby'm za takiego za żadne pieniądze nie chciała... — śmiała się młodsza z pierwszego piętra. — Żeby on mnie tam i miodem smarował... Dziadzisko takiel...

Hanka nie odpowiedziała na te zaczepki. Stała w miejscu, jakby ścierpnięta, nie widząc, ani słysząc, co się koło niej dzieje. Aż wyszedł z jej piersi jęk przeciągły, jedyny wyraz, jaki ta wółuśpiona, sporniewierana dusza umiała znaleźć na swój ból i na swoją krzywdę.

Odtąd było jej jeszcze ciężiej żyć w ciągłej niepewności i strachu, nie wiedząc dnia, ani godziny. Nie dosypiała po nocach, nie dojadła we dnie, wszystko się jej obracało w gorycz i w truciznę. Kiedy upłynął tydzień, prosiła pani znów o dziesięć złotych. Bała się, aby ją prześladowca nie zaskoczył gdzie na ulicy—chciała mieć pieniądze w pogotowiu. Ale pani się to nie podobało wcale. Miała właśnie jakiś sprawunek nadetatowy na myśli i liczyła potroszę na to, że Hanka po owym półrublu tak prędko nie zażąda pieniędzy.

Powiedziała jej zatem, że z góry zasług dawać nie może, a po obiedzie zawiadomiła „najdroższego Lutka,” że służąca się zupełnie zepsuła, że ją stróżka widziała jak w bramie z kawalerem wystaje, i że jak tak dalej będzie, to ona... jako pani domu... nie może przecież...

Zachłysnęła się. Niedobrze jeszcze znała rolę swoją. Nie wiedziała zresztą napewno, co może, a czego nie może. Arcypoważna jednak minka miała zastąpić resztę niedopowiedzianej myśli. „Najdroższy Lutek” wysłuchał z wielką flegmą całej tej oracyi, a ponieważ był już po czarnej kawie i po papierosie, zdjął palto z kołka i, kładąc je, rzekł:

— To ja, żonusi, później dziś trochę przyjdę na herbatę, bo mam dyabłą robotę...

Wyszedł, a „żonusia” uczuła, że jest najnieszcześniejszą w małżeńskim stanie i że teraz dopiero widzi, jacy to są ci mężczyźni...

Nie mogąc dostać pieniędzy od pani, Hanka raz jeszcze pobiegła do Walentowej. Zastała ją w łóżku, chorą, stękającą, z nogami opuchniętymi jak kłody, bez dozoru, bez wygody, w zimnej, wilgotnej izbie leżącą. Ścisnęło się serce dziewczyny i, nie już o pieniądzach nie mówiąc, zakrzatnęła się tylko, żeby izbę ogrzać, strawę zgotować i felczera sprowadzić. Okazało się, że po zapłaceniu felczera, parę dziesiątek ledwo zostało w półskrzynku Walentowej. Dziewczyna z tej wyprawy jak błędna wróciła do domu, i ledwo podawszy samowar, chwyciła swoją marną poduszczykę i do faniarki poszła.

W parę dni potem, a było to zrana, skrzypnęły drzwi od kuchni, a w progu jej stanął łapacz.

Dziewczyna chwyciła się komina i patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

— Dzień dobry pannie -- przemówił uprzejmie łapacz. — Jak się panna miewa? Byłem wczoraj w bramie, ale mi powiedzieli, co panna gdzieś poszła. Tak dziś przyszedłem zobaczyć. Człowiekowi pieniędzy potrzeba... A cóż tak goło jakoś koło panny? Ani pościeli, ani kufra!... Moja panno! to tu widzę u panny nietęga obrada...

Truchlejąc, żeby państwo nie postyszeli obcego głosu w kuchni, sięgnęła dziewczyna pod siennik i podała przybyłemu przyniesione od faniarki pieniądze.

Wziął, przeliczył i ramionami z politowaniem wzruszył.

— Półszosta złotego?... Phii... I to już wszystko?

— Jedyłą poduszkę zastawiłam... — szepnęła dziewczyna głuchym, zdławionym głosem.

Popatrzał na nią.

— No, kiedy tak, to nienia nam się co ze sobą bawić, moja panno. Bądź panna tymczasem zdrowa.

Odszedł. Hanka runęła przy drzwiach, wybuchając gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

W godzinę potem zabrano ją do ratusza, a młoda jej pani przez cały następny tydzień prym trzymała na wszystkich damskich posiedzeniach; żadna bowiem z jej znajomych nie miała do opowiedzenia o służącej swojej takiego, jak ona, „skandalu.“

VI.

W chwili kiedy łapacz, prowadzący Hanke, ukazał się w trzeciem podwórzu ratuszowego gmachu, szereg zakratowanych, czerniejących tu i owdzie powybijanemi szybami okien w tej jego części, która zamyka perspektywę od strony ulicy Daniłowiczowskiej, zapełniony był męskimi i kobiecimi głowami. Nie stanowiły wyjątku pod tym względem nawet tak zwane „obywatelskie“ numery, w których odsiadują areszt policyjny osoby, korzystające z przywilejów stanu.

Przedmiotem ciekawości całej tej galeryi był brudny, zabłocony, chudy pudel, którego strażnik

uczył aportować i służyć. Hekroć pies przybierał postawę pionową, u góry robiła się cisza, przerywana zaledwie pojedynczemi wykrzykami: „ustoi!... nie ustoi!” Kiedy wszakże znużony psina opuścił przed czasem mdlejące łapy, a ciężkie razy grubego rzemienia na drżący grzbiet mu spadały, galerya wybuchła szalonym śmiechem i tupaniem, które w połączeniu z żalosnym skowytom pudła tworzyły prawdziwie piekielną wrzawę.

Zjawienie się w podwórzu łapacza z dziewczyną zrobiło w tem widowisku powszechną dywersję. Strażnik kopnął psa, który w koziołkach przeleciał pod drugą oficynę, skomląc przeraźliwie, a grube i piskliwe głosy zwróciły się po przybyłego.

— Ojczulek! ojczulek! Jak się ojczulek miewa?..

Dzień dobry ojczulkowi! Dzień dobry! Dzień dobry!

Łapaczowi pochlebiała widocznie ta popularność. Podniósł głowę, zmrużył lewe oko i, pogroziwszy ku oknu długim, chudym palcem, pokazał w uśmiechu kilka wielkich, żółtych zębów sterczących pod opustożeniem w większej połowie dziąsłami.

Wrzawa jeszcze się wzmogła.

— Co to? Ojczulek z polowania? Jakże się udało?... Zwierzynka jest? — krzyczeli jedni.

— Panno! panno! spuśćno panna chustkę! — wrzeszczeli drudzy.

— Do nas ją tu! Do nas!

— Dawaj ją, ociec!

— Ciszej, zboje! — krzyczały kobiety, wysuwając pięście i głowy przez potłuczone szyby w stronę męskiego oddziału.

— Wy same, baby, ciszej!.. — odpowiadali mężczyźni.

— Hej, ty tam, niuńka!.. Nie słyszysz, że się do ciebie gada?

— W kark ją, ojczulku!.. A dobrze!..

Hanka szła wyprostowana, krokiem równym, przyspieszonym, z jakąś ponurą determinacją w ruchach. Mocno ściągnięte brwi nadawały jej twarzy wyraz groźnej boleści. Wąskie usta lekko drżały, a nieruchomo utkwione w przestrzeni oczy zdawały się patrzeć w oteblań krzywdy i klęski. Przeszła tak podwórze, bramę, schody i dopiero kiedy ją w końcu długiego kurytarza „pod numer“ wpuszczono, oparła się plecami o ścianę, jakby upaść miała, przygarbiła się, opuściła ręce, a oczy jej chodziły jak błędne po wielkiej, brudnej izbie, w której, stosownie do litery prawa, miała odsiedzieć dwa tygodnie aresztu za ucieczkę swoją z pobytu. Izba ta nie było to właściwie więzienie, ale ohydny etap, przez który przepływały coraz to nowe fale nędzy, znikczemnienia i hańby, zostawiając tu swe ponure ślady. Kilkanaście brudnych, zbitych z desek tapczanów stanowiło sprzęt jej jedyny. Na tapczanach chrapało parę pijanych kobiet, kilka innych tłoczyło się do drzwi dla zobaczenia i wypytania przybyłej.

Rozczarowały się prędko. Było to jakieś „głupie dziewczysko,“ z którym się dogadać nie było można.

W południe przyniesiono szaflik kaszy, przy którym powstała gwałtowna kłótnia o skwarki ze starego sadła. Hanka w tym pierwszym obiedzie nie brała udziału. Nikt jej nie wolał, łyżki dla niej nie

dano. Przyszła późno, kasza nie była na nią „rozrachowana,” jak utrzymywały dawniejsze lokatorki izby.

Dziewczyna nie czuła głodu, nie dopominała się też o nic, a zwinąwszy się w kłębek, na ziemi w kącie siadła, głęboko na twarz zapuściwszy chustkę Walentowej.

Zmierzch zapadał szybko. Przyszła noc, a przy migocącym świetle zapalonej nade drzwiami latarni może było wiedzieć rojące się po ścianach robactwo. Nowa klótnia, którą aż strażnik uciszać musiał, powstała przy zajmowaniu tapczanów. Baby do oczu sobie niemal skakały, nie mogąc się porodzić o miejsca, potem, zmuszone interwencją strażnika, pokładły się, klnąc i lamentując; a kiedy odszedł, długo jeszcze warczały jedna na drugą, aż je nareszcie sen zmorzył. Hanka też skulona w kącie na ziemi zasnęła.

Wkrótce przecież po północy zbudził ją hałas w kurytarzu. Zgrzytnęły zasuwu u drzwi, a pod numer wpuszczono śmiejącą się i ujadającą ze strażnikami dziewczynę. Hanka poznała ją natychmiast. Była to Miłka Czerkas. Wyglądała tak, jakby ją prosto z jakiejś ulicznej bachanalii chwycono. Różowa, szeroko z boku rozerwana suknia, zmięta papierowa róża we włosach, zaognione policzki, błyszczące oczy, lekka chusteczka na wpółodkrytych piersiach. Widocznie była nietrzeźwa. Wepchnięta do izby, jak kleszczami trzymała się rękawa strażnika, który ją prowadził, i puścić go od siebie nie chciała.

— Hu... u... u!... Jak tu zimno! A to psiarnia! Huuu... Jaka to para idzie! A toć ja wam tu zmar-

znę, do licha!... Panie strażnik, albo pan fundaj wódki, albo co... Hu... u... u...

— Poszła!—krzyknął grubym głosem strażnik, szamocząc się z dziewczyną. Nie mógł sobie wszakże dać rady.

— Jak nie, to z panem strażnikiem wywinę z jednego..

Zaczęła się śmiać szalenie i ciągnąć go wkońko za sobą.

— Hu! ha!... — przyśpiewywała sobie, tupiąc drobnymi stopami.

— Puszczaj, ty!...—wrzasnął strażnik w ostatniej pasyi.

— Co tam, puszczaj... Abo to nie zapust? Tylko że mi jakoś nogi chodzić nie chcą. Musiały mi te bestye zadać co w gorzałce... No, panie strażniku! Dalej go!... na lewo... na lewo...

Zatoczyła się i, zawadziwszy o tapczan, padła na ziemię. Padłszy, śmiała się jeszcze, ale się nie podnosiła.

— Ojej, jak mi się też kręci w głowie! ojej!...

Strażnik splunął i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Nad ranem nowe wrzaski. Przypędzono całą gromadę kobiet, zebranych po zaułkach i złodziejskich norach.

Była to żywa hańba i nędza. Wychudzone, brudne, obdarte, po większej części młode jeszcze, jedne obrzękłe, inne naznaczone sińcami na twarzy, nosiły w całej swojej postaci znamię ostatniego upodlenia.

Dwie z nich miały dzieci przy piersi. Niektóre rzuciły się zaraz na tapczany, chcąc sobie zdobyć miejsce, ale zbudzone baby z wrzaskiem i kłótniami broniły im przystępu. Inne padły na ziemię, w ostatecznem, jak się zdawało, znużeniu. Uciszyło się wreszcie. I dziw, wpośród tej ciszy tu i owdzie dało się słyszeć westchnienie, zmieszane ze słowami pacierza...

Owa tygodnie, jakie Hanka spędziła w ratuszu, zostawiły głębokie ślady w całej jej istocie. Dusza jej zwiędła, zestarzała jakby. Instynkt nienawiści dojrzewał w powietrzu tej wielkiej, brudnej izby, rozprzestrzeniał się, ogarniał ją całą i pełzał po sercu jej tak, jak to robactwo pełzało po ścianach. Kiedy kto przemówił do niej — ścisnęła zęby, żeby nie kląć, troska jej leżała na jej piersiach dzień i noc, jak wielki, ciężki kamień.

Po dwu tygodniach zaprowadzono ją razem z Mańką do kancelaryi w więziennym gmachu, w którym odsiadywała swój wyrok. Miano je wysłać w pobyt z całą partją. W kancelaryi stała już u drzwi gromadka kobiet, oczekująca na wejście „wielmożnego.“ Wielmożny spóźnił się dzisiaj. Miał u siebie wczoraj partyjkę winta, karta mu nie szła, wstał późno, kwaśny był i niewyraźny jakiś.

Pan radca o ludzkości swojej lubił wspominać często. Roztkliwiało go to, napełniało jego piersi jakimś błogiem ciepłem. Pełniąc swój znoyny urząd, czuł on niekiedy coś, jakby lekkie lechtanie pod lewem zebrem, coś, co skrupulat jakiś gotówby nazwać wyrzutem sumienia. Natychmiast wszakże przypo-

minal sobie, że jest ludzkim, bardzo ludzkim, i to go uspakajało zupełnie. I teraz spróbował tego środka, ale łechtanie było uparte jakieś.

Stojąca u drzwi Hanka zaczęła drżeć na całym ciele.

W tej chwili pan radca spostrzegł ją i przywołał łaskawie.

— Blacharzówna! A ty co tu robisz? Toś ty z pobytu uciekła?

Zatrwożyła się i, spuściwszy głowę, milczała.

— Al! wiesz, żeś się tego po tobie nigdy nie spodziewał!

Pan radca miał wymowę łatwą, niekiedy nawet kwiecistą, a moralizować lubił niezmiernie. Wytwarzało to, podług niego, pewną etyczną atmosferę w instytucji powierzonej pieczy jego, która to atmosfera jeżeli szwankowała czasem, to przynajmniej nie z braku dobrych rad i ojcowskich uwag pana radcy. Teraz wprawdzie był zirytowany, no i partyę trzeba było wyprawić, nie mógł wszakże odmówić sobie przyjemności małego przemówienia do tych „istot straconych“.

— Fakt—ciągnął więc dalej—ja ciebie zawsze miałem za porządną aresztantkę, za przykład cię stawiałem innym, a ty tak sobie postąpiłaś? To tobie miłsza włóczęga niż praca, niż życie uczciwe i spokojne? Posłałem cię, jak co dobrego, samą, a ty mi taki wstyd zrobiłaś przed ludźmi? No widzisz! sama powiedz, coś ty warta?...

Hanka milczała.

— Taka młoda, taka przystojna dziewczyna! — mówił po pauzie pan radca, kiwając głową. — Toż ty

mogłaś los jeszcze zrobić! Nie było ci to do służby iść, uczciwej pracy się chwycić, z porządnymi ludźmi po ludzku żyć, po chrześcijańsku, po bożemu. .

Tu brakło panu radcy dalszych omówień i zamilkł na chwilę. Czuł wszakże, że, ze stanowiska swego wychodząc, powinien jeszcze parę uwag dodać.

— Prawo—rzekł więc — moja kochana, nikogo nie potępia. Ono chce poprawy, nie zguby winowajcy. Ono cię umyślnie odrywa od wszystkich dawnych pokus i okazji, daje ci sposobność rozpoczęcia nowego życia, otacza cię dobroczynną opieką, ułatwia ci odrodzenie moralne. Tak tu, jak tam, widziałaś zawsze ludzi, którzy choć surowo, ale po ojcowsku obchodzili się z tobą... Czy nie tak?

Hanka milczała.

— Puszczona byłaś na swobodę, mogłaś robić wszystko, co ci się podoba, byle uczciwie, mogłaś, żyjąc skromnie i mając w służbie wszystkie potrzeby zaspokojone, odłożyć coś, zebrać sobie, za mąż wyjść. Te trzy lata pobytu to prawdziwe błogosławieństwo boskie dla ciebie. A ty wołałaś uciec, wołałaś do szajki złodziejskiej przystać!.. Nie, nie, nigdy się po tobie tego nie spodziewałem!

Hanka zacisnęła usta, a z oczu padały jej łzy ciężkie, wielkie, jasne. Inne kobiety wzdychały, stara Fajerowa ucierała nos hałaśliwie.

Wymowa pana radcy nie była bez skutku. Ta prosta, nędzna dziewczyna uczuła taką skrachę, jakby wszystko, co mówił wielmożny, nie było właśnie najpotworniejszą sprzecznością z tem, czego w pobycie doznała. Serce w niej tajało, jakby naprawdę puściła się na co złego z własnego wyboru. Oczarowa-

nie to trwało póty, póki brzmiały i z łagodną stanowczością wypowiedana przemowa nie dobiegła końca. Gdy dźwięk tych pięknych i pustych słów przycichł, dziewczyna ocknęła się w sobie, zmieszała, a przypomnienie o głodzie i hańbie krwawą chmurą po twarzy jej przeszło.

— A równo ucieknę—pomyślała—jeśli mnie on tam...

Nie dokończyła. Krwawa chmura podeszła jej aż pod świąde skronie. Podniosła oczy i, spojrzawszy na stojący przed panem radeą krucyfiks, rzekła w duszy:

— Tak mi dopomóż Jezu miłosierny i najświętsza męka twoja...

Wysyłanie w pobyt partyi zawsze zgromadza garstkę ciekawych przed murami więziennego gmachu, którego tajemnice mało komu przeniknąć jest dane. I teraz stała na przeciwległym trotuarze kupka przechodniów: bab, dzieci, wyrostków, mężczyzn, którzy obserwowali tymczasem tłoczące się na schodkach więziennych kobiety. Kobiety te były to: matki, żony i siostry tych, których pędzić miano. Wszystkie one prawie miały zrana tak zwane „widzenie“ w izbie, przyległej kancelaryi, gdzie jest jakby rodzaj klatki okratowanej, do której z jednej strony wpuszczają więźnia, a z drugiej odwiedzającego. Dziś wszakże po widzeniu nikt nie odchodził. Tłoczono się i czekali. Czasem wybiegło słowo jakie, częściej westchnienie ciężkie, spojrzenia były niespokojne i zgnębione.

Otworzyły się drzwi, a strażnik przepuszczał partyę, licząc głośno. Najpierw szli mężczyźni. Drobnii, chuderlawi, pokrzywieni jacyś, plecy w pałąk,

kolana ku przodowi wygięte i drżące, twarze żółte, jakby nalane, niektóre poczerniałe, jakby dymem zasze, oczy błędne lub biegające, głowy pogolone. Jeden zaledwie pomiędzy nimi był roślejszy.

Ruszyły się kobiety ze schodków z jękiem i szlochaniem. W partyi także ten i ów ocierał oczy rękawem. Strażnik naglił, zaczęto się żegnać. Pogolone głowy schylały się ku wyschłym rękom starych kobiet, to ku dzieciom, przyniesionym z domu przez matki. Ale dzieci te odwracały się z przestachem. Zapomniały już tych ojców, bały się.

Za mężczyznami wyszły kobiety. Najwięcej było dziewcząt młodych, dziwnie zwiędłych, z śladami moralnego nieładu na twarzy. Ledwo się ukazały, zaraz na przeciwległym trotuarze dały się słyszeć koncepty i śmiechy; niektóre z dziewcząt odpowiadały na zaczepki także śmiechem. Nie brakło wszakże i starszych aresztantek. Do tych cisnął się kupkami i pojedynczo różnego wieku drobiazg, to obdarty, to dosyć schludnie nawet odziany. Za kobietami wyszedł mający prowadzić partyę strażnik i zaraz ją zaczął ustawiać do drogi. Trójkami szli, prawie wszyscy nędznie odziani. Dwóch tylko mężczyzn miało kożuchy, a kaftany i chustki kobiet mroźny wiatr przewiewał. Ten i ów się obejrzał, ten i ów przeżegnał, a byli tacy, co podśpiewywali sobie. Najweselej szli ci, których nikt nie odprowadzał, za którymi nikt nie patrzył. Niektórzy wywijali czapkami, wołając: „do widzenia“ tym murom, które ich wypuściły. Ruszyli.

Tego dnia był pan radca na proszonym obiedzie, a tłómacząc się z braku humoru swojej uroczej sąsiad-

ce, wyznał jej, że wysyłał dziś partyę w pobyty i że to go zalterowało.

— Cóż to jest ten pobyt? — zapytała młoda dama.

— Pobyt, łaskawa pani?... Ależ nie prostszego nad to! Pobyt polega na tem, że przestępcy, po odsiedzeniu wyroku, niewolno jest przez rok, przez dwa, przez trzy i cztery, to już wyrok określa, znajdować się bliżej Warszawy, jak w promieniu czterdziestu wiorst. W takiej to odległości jest kilka punktów, do których odstawia się więźniów po kilku, po kilkunastu, różnie.

— A to ciekawe...

— Bardzo ciekawe! Wogóle nasza procedura karna jest bardzo ciekawa. Pani nigdy nie czytała naszego kodeksu karnego?

— Nigdy. Zkądżeby?...

— Naturalnie! Bardzo to pojmuję.

— A czy tam, proszę pana—odezwała się młoda panna, która, siedząc po za uroczą damą, od chwili już przysłuchiwała się rozmowie—czy tam jest jakaś opieka nad tymi więźniami?

Pan radca przechylił się ku mówiącej uprzejmie.

— To jest niby gdzie, proszę pani?

— No tam, w tym pobycie.

— O, naturalnie! Muszą się meldować w miejscowym magistracie, otrzymują czerwone paszporty i...

— Czerwone?...—zadziwiła się uroczą—a to zabawne! Nigdy jeszcze nie widziała czerwonego paszportu!

— I są pod dozorem policyi — zakończył pan radca.

— Ale ja nie o tem mówię, proszę pana—przemówiła panna.—Ja chciałam zapytać, czy im tam kto dostarcza pracy... no i wsparcia moralnego do wejścia na uczciwą drogę?

— To jest, żeby tak specjalnie coś w tym guście było, to nie. Puszczają ich na miasto, a kto chce, to sobie roboty szuka.

— Ale tam w mieście wiedzą, że to złodzieje?

— Naturalnie! Przecież się ich przez całe miasto prowadzi, to raz. A powtóre, kto czerwony paszport pokaże, to już wiadomo, że złodziej.

— Więc któż ich tam do roboty weźmie?

— Owszem. W lecie większa część znajduje robotę w polu.

— Większa część... A w zimie?

— Ha!—pan radca rozkrzyżował dłonie — trafi się, że i w zimie czasem jakaś się robota znajdzie.

— Więc z czegoż oni żyją, kiedy pewnego zarobku niema?

— Kradną proszę pani! To niepoprawny naród! Prawdziwe szajki złodziejskie tworzą w okolicy i kradną...

— Co za okropne zepsucie... — wtrąciła urocza.

— A inni—kończył pan radca — uciekają napowrót do Warszawy, bo tu niejeden rodzinę ma, warsztat, stosunki...

— I pozwalają im zostać?

— Ale z kąd znowu! Cóżby to był za porządek?

— Więc cóż oni robią?—przemówiła panna.

— Kryją się po różnych norach złodziejskich, póki ich znów nie złapią.

— A jak złapią?

— To sadzają ich do kozy, a potem prowadzą napowrót w pobyt.

— To okropne!—rzekła zeicha panua.

— A czy pani myśli, że to złodzieja poprawia?—zapytał pan radca —Gdzie tam! Ledwo się strażnik odwróci, już znów ucieka.

— A jak go powtórnie złapią?

— To idzie na dwa miesiące do więzienia, a potem znów w pobyt.

— I tak ciągle? A to zabawne!—rozśmiała się urocza.—Panna patrzyła na pana radcę przerażonemi oczyma.

— I tak ciągle?—rzekła.

— O, nie!—odrzekł wesoło pan radca.—Takiego ptaszka..

Nie mógł dokończyć, gdyż gospodarz w tej chwili powstał i, wzniosłszy kieliszek wina:

— Zdrowie dam!—zawołał głośno.

Urocza się uśmiechnęła, pan radca się zerwał, zrobił się rumor—i tak rozmowa przerwana została.

Tymczasem gromadka aresztantów posuwała się naprzód rażno, bo mroź przejmował, a wiatr świstał w polu, miecąc suchym, drobnym śniegiem. Blacharżówna i Mańka Czerkas trzymały się razem. Obie były zsiniałe i drżące, a odzienie ich, razem wzięte, jednej nawet nie zabezpieczyłoby dostatecznie od zimna.

— Haunsia, siostrzyczko — szeptała Mańka.—

Nie wytrzymam! Jak mi Bóg miły, nie wytrzymam! Drapnę... Chcesz ze mną?

— Nie chcę—odrzekła posępnie Hanka. — A ty wstydu w oczach nie masz, kiedy cię po takiej poniewierce jeszcze do tej Sodomy ciągnie...

Mańka zaczerwieniła się i wzruszyła chudemi ramionami.

— Co mnie ma ciągnąć? Do jakiej Sodomy? Jak Bożę kocham, tak ja wcale nie do Bamblowej! A cóż to mnie Bamblowa? matka, czy co?

Szły chwilę w milczeniu. Mańka znów szeptać zaczęła.

— Ja tam, widzisz, w ratuszu poznałam się z jedną, co ci bez meldunku więcej niż pół roku przesiedziała spokojnie...

Hance błysnęły oczy.

— A gdzie ona przesiedziała?

— U jednej tam, na Zakroczymskiej, wprost kosszar, u jakiejś Pajęczakowej... Wdowa podobno, czy kto ją tam wie, ale że bardzo porządna kobieta. Handluje, sklepik jakiś trzyma, i dzieciaków tam u niej różnych, bo swoich nie ma, pełno.

— I ona tam u niej siedziała?

— A siedziała! Więcej jak pół roku siedziała. I nijakiej tam nie było Sodomy... tylko ją na robotę baba posyłała...

Zmierzchało. Strażnik popędzał, mieli jeszcze z pół mili do wsi, gdzie była kancelarya gminy. Tam miał zdać partyę, pilno mu więc było. Śnieg jakoś ustał, wiatr się uciszył, kilka gwiazd błysnęło na niebie. A już i psy zaczęły ujadać w opłotkach, zdaleka słysząc było bęben i piskliwe skrzypce. Chrzcziny by-

Iy wczoraj u soltysa, a teraz poprawiny w karczmie. Niektórzy z aresztantów zaczęli sobie pogwizdywać, a wszyscy przyspieszyli kroku.

— Śpiewaj, śpiewaj!—mruknął jeden.—Pośpiewasz ty lepiej jutro w kozie.

— W jakiej znów kozie? Albo to ja do kozy idę? Przecie mnie tam nie zamkną.

— No, ciebie może nie. Ale te „stepowce“, te uciekiniery, co ich drugi raz pędzą, to najpierw pójdą do kozy.

— A przecie!—przytwierdził inny.—Taki Józik Werda, taki Sobiecha, taka Blacharżówna...

Hanka stanęła, jakby ją kto targnął. Do kozy? Ona do kozy? Tam, gdzie...

— Idź!—krzyknął na nią strażnik.

Spuściła głowę i zaczęła iść spieszenie. Dochodzili już do pierwszych chalup, psy wypadały na drogę, szczekając zajadle, taneczny bęben brzmiał coraz głośniej. Hanka patrzyła po stronach niespokojnie; oczy jej szukały Mańki Czerkas. Ale dziewczyna odbiła się gdzieś naprzód i tylko jej śmiech słychać było. Szli tęgim krokiem. Jednych pobudzało zimno, drugich odgłosy rzępolącej od ucha kapeli. Już byli niedaleko kancelaryi gminnej, kiedy się z nimi zetknęła kupka kobiet, idących od strony karczmy z głośną rozmową, śpiewami i pokrzykiwaniem.

— Niech będzie pochwalony!—przemówiła pierwsza.

Sąsiadka pociągnęła ją za chustkę.

— Adyć to złodzieiska! Frąckowo!

— A niech ta będą! Równo nie żydy...

Strażnik zatrzymał baby.

— Gdzie tu sołtys żyje?

— Adyć żyje! — odrzekła jedna z bab wesoło — w karczmie siedzi!

— A stójka gdzie? stróż?...

— Adyć i stójka w karczmie. Cała kancelarya tam siedzi...

Rozśmiały się baby. Strażnik zafrasowany kręcił głową.

— A skocz ino, Maciuś, do karczmy i powiedz sołtysowi, coby duchem szli — rzekła jedna z kobiet, pełnawszy w kark chłopaka, który, spódnicy jej się trzymając, wytrzeszczał oczy na strażnika.

Kopnął się Maciuś, ale niemało czasu upłynęło, nim wrócił z sołtysem i stójką. Jednemu i drugiemu plątały się już języki. Wymowa wszakże sołtysa o tyle była przekonywająca, że w chwilę potem strażnik, zostawiwszy przy aresztantach stójkę i dwóch parobków, co na ochotnika wyszli pilnować złodziei, poszedł z sołtysem do karczmy ogrzać się nieco. Stójka był człowiek miękki, a już kiedy się napił, to go choć na palec owinąć było można; nie też dziwnego, że kiedy ten i ów z aresztantów zaczął narzekać na siarczyste zimno, jedna i druga flaszką wódki znalazła się jakoś na rozgrzewkę, a po drugiej przyszła trzecia i czwarta. Rozwiązywano węzłki, kto miał grosz jaki — fundował sobie i innym. Podeszli jakoś niechęć ku karcznie, żeby było bliżej nosić, a że tu już skrzypice akuratnie słychać było, ten i ów, potaczając się, zawijał poły i do tańca się rwał.

Z progu karczmy dziewczyny i chłopaki przypatrywali im się ciekawie.

Werda posunął do jednej.

Szarpnęła się i pokazała mu połowę pleców.

— Zaś bym tam... z takim... łbem golonym...

Zaczerwieniła się jak wiśnia, inne wybuchnęły śmiechem.

Tymczasem Hanka podeszła do Mańki Uzerkas, która, już się w boki ujawszy i zrzuciwszy chustkę z głowy, kołysała się na biodrach, przyspiewując sobie:

Poszła pauna do gaju,
Nakopała rozmaju...

— Mańka!—szepnęła Blacharzówna—Mańka!
Dziewczyzna spojrzała na nią pobielełami od wódek oczyma. Zmyliła jej się piosenka.
Zaczęła z innej nuty:

A ja sobie poradzę:
Czarną kurę nasadzę,
A kureczka poprzedam,
Kupię sobie w mieście dom...

Hanka szarpnęła ją za ramię.
— Mańka! słuchaj! Mańka... idziesz?..
Ale Mańka już wyskakiwała.

Jak mi będzie jeszcze brak,
Dokoż mi starszy brat;
Jak mi jeszcze nie stanie,
Dokoż mi mieszczenie...

— Hu! ha! — zaczęła hukać do taktu bębna i skrzypicy.

Hanka szarpnęła ją znowu.

— Słuchaj ty zatracona, miałaś biec... miałaś iść...

Mówiła przyciszonym, gorączkowym głosem.

Mańka spojrzała na nią.

— Co mi ta uciekanie! — rzekła głośno, — Dajcie jeszcze wódki!

Hanka obejrzała się ze strachem, ale wszyscy sobą byli zajęci.

Usunęła się wtedy w cień, poza baraszkującą gromadę.

Nazajutrz rano strażnik, zdając aresztantów w ręce wytrzeźwionego sołtysa, nie mógł się jakoś doliczyć jednego „numeru.“ Trzy razy ich ustawiał, trzy razy rachował, to od prawej, to od lewej strony zaczynając, i zawsze mu brakowało do liczby. Z początku zafrasował się tem mocno, potem wpadł w złość i pięścią po karkach aresztanckich przejechał, nareszcie, widząc, że i to „nie pomoże,“ machnął ręką, zaklął, i z pisarzem gminnym, który na Mańkę zerkał, papiersosa pałac, poszedł się rozgrzać na drogę.

Aresztanci śmiali się w kulak. Oni wiedzieli dobrze, kogo brak.

Krwawe bezpromienne słońce podniosło się już nad ziemią, kiedy Hanka, naoslep biegnąca tą samą drogą, którą prowadzono partyę, dopadła znanych sobie zaułków nad Wisłą. Tym razem była to ucieczka bez premedytacyi nawet, bez zamiaru, rzeczby można, jeśli za zamiar nie będziemy uważali głosu, któ-

ry straceńcowi krzyczy w piersi: ratuj się, bo zginiysz!

Ona sama byłaby może zdumioną, gdyby jej kto powiedział, że to ucieczka. „Ratowała się“ tylko, nic więcej.

Los sprzyjał jej nadspodziewanie. Szła a szła, zrazu patrząc na wieczorną gwiazdę, potem na jutrzenną. Spotykając z wieczora ludzi, zwalniała kroku. Ten i ów przemówił do niej „pochwalony“, nikt nie przypuszczał, patrząc na tę drobną, ciemną postać, że to kryminalistka, zbiegła aresztantka. Dopiero kiedy nikogo nie było naokół, puszczała się co sił, a wiatr, targający jej lichą spódniczykę, czuł ją ciągle przeciw sobie idącą. Wreszcie znużył się wiatr i przycichł, ale dziewczyna szła dalej, dalej... Szła, a nędzne jej serce oddawało się jeszcze jakiejś nieokreślonej nadziei.

Wszedłszy już w zaułki, zboczyła, nadkładając kawał drogi, aby wpaść do Walentowej, przesiedzieć dzień w ukryciu, a zmrokiem puścić się dalej. Szczęściło jej się; stróża nie było w bramie. Wpadła do suteryn zdyszana. Wszedłszy do długiej, ciemnej sieni, zadziwiła się, że widniej tu jakoś było niż zazwyczaj. Posunąwszy się nieco dalej, spostrzegła, że widność ta idzie przez drzwi, jak szeroko od izby Walentowej otwarte. Zadziwiła się bardziej jeszcze i szła dalej. Cisza była zupełna. Doszła wreszcie do drzwi i cofnęła się od nich jakby pchnięta. Stancya była zupełnie pusta; na środku tylko, na ubitej ziemi czarnej leżała powięź słomy rozwiązana, prosta.

Jeszcze się Hanka nie opamiętała, kiedy drzwi naprzeciwko skrzypnęły, a w progu ich stanęła kobieta z konewką w ręku.

— A do kogo to panna?—zapytała.

— Do Walentowej, do praczki... ona się już, widzę, ztąd wyprowadziła.

Kobieta zaczęła kiwać głową.

— Oj, wyprowadziła się, moja panno, wyprowadziła! Tyle tylko, że nie sama, ino ją ludzie wyprowadzili.

Hance nagle rozszerzyły się źrenice. Patrzała na mówiącą, otworzywszy usta..

— Matko najświętsza!—wyszeptała po chwili zdławionym głosem.

— Tak, tak, moja pa no! Zmarło się babinie. Co to panna z „famieli?” Mój Boże! Jak teraz to się najdują, za groszem przeważają.. A jak starowinie kapki wody nie miał kto podać, to nikogo nie było. Ot, sieroctwo ciężkie na stare lata i tyle. Dobrze, co się Pan Jezus miłosierny ulitował i zabrał do swojej chwały...

Hanka stała jak ślip, utkwivszy oczy w leżącej na ziemi słomie. Sąsiadka wzdychała i mówiła dalej:

— Cztery dni ciało stało... to ci, świeć Panie nad jej duszą, wzdęło ją, aż strach. Co nie miało wzdąć? Tać to i choróbsko takie było, co jej najpierw nogi puchły, a potem dalej i dalej, aż też jak doszło do serca, tak nie mogła zwyciężyć, niebożątko. Wczoraj ją pochowali.. A jakże. I to żeby nie mój, toby do dziś dnia stała, bo trumny nie było kupić za co. Dopiero my się zakrzętnęli, do cyrkułu

dali znać i graty poprzędali. Ale cóż! Jak gospodarz zaczął za komorne liczyć a potrącać, tak i na pochów niewiele zostało... Oj, namęczyła się, namęczyła, ażeśmy ją musieli na prostej słomie na ziemi kłaść, takie ciężkie miała skonanie...

Zawołał ją ktoś z izby. Westchnęła głośno i poszła.

Hanka się jakoś z miejsca ruszyć nie mogła. Jak załamała ręce, tak stała, zapomniawszy sama o sobie.

Wtedy z zapiecka wywłókł się kot bury, miaucząc zduszonym i ochrypłym głosem. Boki miał zapadłe, oczy błyszczące jak dwie złote iskry, podszedł i zaczął się obcierać o nogi dziewczyny. Hankę porwał płacz nagły, rzęśisty. Rzuciła się twarzą na powięź słomy, a głuche łkania wstrząsały jej nędznem ciałem. Uspokoila się wreszcie, zmówiła pacierz, i ucałowawszy ziemię, ubitą stopami starej praczki, wstała. Kot miauczał ciągle, ale coraz słabiej. Wtedy schyliła się dziewczyna i, wzięwszy go pod chustkę, obejrzała się raz jeszcze po pustych kątach i wyszła.

VII.

Domostwo Pajęczakowej, lubo w ustronnej części miasta leżące, zawsze było pełne ruchu. Patrząc na nie z zewnątrz, od strony Sapieżyńskich koszar,

widać było przedewszystkiem mały sklepik z wiktuałami, którego wpółszklone drzwi za każdym poruszeniem rozbudzały cienki, silnie brzęczący dzwonek. Dzwonek ten odzywał się tak często, iż zdawać się mogło, że mały sklepik zaopatrzony jest we wszystko, czego ludziom wogóle, a mieszkańcom Zakroczymskiej w szczególności do życia potrzeba. Wnętrze jego wszakże nie odpowiadało tym nadziejom. Półki były prawie puste i kurzem zasute, na niższych tylko porozkładane pudełka z papierosami, wyschłe cytryny, ołówki tabaki, tytoń, kawałki mydła, szuwaks i zapalki. Na kramnicy, za którą kręciła się usługująca dziewczyna, stał koszyk z bułkami i parę słoików z farbowanemi przysmakami dla dzieci. W jednym kącie wysoko ścięte drwa w wiązках, w drugim worek soli, nafta i kupka kartofli — oto prawie wszystko, co na pierwszy rzut oka spostrzedz tu było można. Drugi rzut oka zatrzymywał się zwykle na zmiętej, wyblądłej perkalowej firance, która, rozwieszona pomiędzy dwiema sklepowemi szafami, zasłaniała schodki, prowadzące do dalszych części domostwa. Brudna ta szmata ciągle prawie drżała, to od pędu powietrza z zewnątrz, to od jakiegoś stłumionego ruchu, który się poza nią odgadywać dawał. Ten, kto w tym sklepiku posiedział choćby z godzinę, z łatwością mógł zauważyć, że większa część przychodzących tu klientów przynosi z sobą jakieś zawiniątka, paczki, tobołki, i że wielu z tych nawet, którzy nic nie przynoszą, mają coś do szepciania ze sprzedającą dziewczyną. I jednych i drugich puszczała ona za firankę, niedługo zatrzymując w kramie, i wtedy to odsłaniały się owe

trzy schodki, prowadzące do niewielkiej, lecz dostatnio wyglądającej izby. Kufry, szafy, komody, wszystko tam było zamczyste, z widocznym względem na bezpieczeństwo sporządzone, a wysoko zasłane łóżko pod ścianą, pełną palm i obrazów świętych, nadawało całemu przybytkowi temu wyraz dobroduszości i powagi. Mało kto wszakże z przychodniów dłużej się tu zatrzymywał. Wszyscy dążyli na lewo, gdzie przez nawpół ciemną szpiarkę czy komorę wchodziło się do niskiej, zakopconej, bardzo obszernej izby, gdzie główne miejsce zajmował wielki komin z okapem, w pobliżu którego stał długi, z tarcie zbity na krzyżulcach oparty stoł sosnowy. W przeciwległym kącie ustawiony był jakby rodzaj niskiego a bardzo szerokiego, napchanego słomą tapczana, z której to słomy wyglądały niekiedy główki jasne i ciemne młodszych i starszych dzieci. Chmura tytoniowego dymu wisiała pod brudnym pulapem. Do izby tej, którą z pierwszego wejrzenia wziąć było można za jakąś nędzną garkuchnię, przesuвано się we dnie ukradkiem, porozumiewano w niej szeptem. Czasem tylko wybuchały tu nagle głosy dziecięce, jak świegot wróbli, wprędce uciszane w jakieś zdławione szlochanie i płacze. Nocą za to było tu gwaru, jasno i wesoło. Na kominie wrzały garuki, na stole dymiły misy, porczwalani na ławach przybysze kopcili tytuń i popijali gorzałkę. Pomiędzy nimi widać było małych chłopców, dzieci prawie, którzy tak samo pili i palili, jak starzy.

Przy kominie stawała wtedy pani Pajęczakowa, lub Pajęczewska, osoba zażywna, pod sześćdziestątkę mieć mogąca, której małe, bure oczy były

w nieustannym ruchu, a ruchomy koniec cienkiego, nadgryzionego przez ospę nosa zdawał się wietrzyć na wszystkie strony. Ten nos i te oczy same jedne trzymały na wodzy burzliwe żywioły tej izby, z której, pomimo szczelnie zamkniętej okiennicy, aż na podwórze wybiegały nieraz odgłosy kłótni i bójek. Pajęczakowa, niegdyś sama karana kilkakrotnie więzieniem, jako złodziejka, spoważniała obecnie i, nie narażając się na zmienne losy igrzyska, została „paserką,” a także tak zwaną „aferzystką.”

Ani paserka, ani aferzystka nie kradnie sama. Pierwsza przechowuje, nabywa i sprzedaje rzeczy kradzione, druga trzyma u siebie większą lub mniejszą „komendę,” złożoną z różnego wieku dzieciaków, które „na robotę” wysyła, zaopatrując je w odpowiednie instrukcje. Komenda znosi lupy, a dostaje za to miskę strawy, lachman jaki na grzbiet i miejsce na wspólnym barłogu. Kto nic nie przyniesie, także coś dostaje, jak o tem świadczą sińce mniej zręcznych lub mniej szczęśliwych. Aferzystka bierze się do dzieła roztropnie i z namysłem. Ona się nie skompromituje ładajakim wyborem, zwłaszcza co do starszych.

Jeszcze wtedy, kiedy sama siedzi w więzieniu (aferzystki zwykle przechodzą tę kolej), upatrnie sobie najmłodsze z dziewcząt, opiekuje się nimi, oddaje im swoje skwarki, pożycza mydła, nici, częstuje wódką, a nieraz nawet odstępuje im swoje „sztuczki,” to jest kawałki mięsa wydzielone dla siebie.

Kiedy odsiedzi wyrok, odwiedza je, przynosi im to pomarańcze, to bułki, to parę groszy; kiedy zaś młoda delikwentka ma być wypuszczoną, aferzystka u bramy na nią czeka, aby ją wziąć pod opiekę swoją.

Rekrutacya taka odbywa się niezmordowanie i z pewnym, jak widzimy, zachodem i kosztem. Nic dziwnego, że się opłacać musi—i rzeczywiście się opłaca. Młodsza komenda zbiera się bez trudu. Dzieci głodnych, odartych, gotowych na wszystko i nie należących do nikogo, zawsze jest dosyć w wielkiem mieście.

Pajęczakowa drobiazgu tego miała u siebie z dziesięcioro może. Były to „sieroty po siostrze,” to znów „sieroty po bracie,” a czasem „sieroty wzięte z miłosierdzia.” Całe też suteryny z oficynami włącznie podziwiała litościwe serce tej dobrej osoby. Czasem wprawdzie przepadało któreś z tych sierot w jakiejś mniej fortunnej wyprawie; wtedy mówiło się, że Jasiek albo Antek poszedł do terminu, a opróżnione na tapczania miejsce zajmował na upatrzonego wybrany nowicyusz.

Starsze dziewczęta także przepadały czasem. Pajęczakowa wzdychała wówczas głośno nad niewdzięcznością ludzką, a normalna liczba sińców na grzbietach młodszej komendy zwiększała się znacznie.

Tyle co do ludności stałej. Ludność niestała coraz to świeżą napływała falą. Złodzieje z profesyi i okazyonalni, rekrutowani z pomiędzy wszelkiej hołoty, wyrobnicy bez zajęcia, służba obojej płci i różnej kondycyi, żydzi, i nieokreślonego gatunku wolontaryusze—wszystko to wsuwało się chyłkiem we drzwi, a zbierało tłumnie nocami, kłócąc się, godząc i dokonywając tajemniczych tranzakcyi, których lwią część padała do kufra Pajęczakowej. Jaki był stosunek tej nory do policyi—trudno określić. Kłamstwem byłoby utrzymywać, że policya nie wiedziała o jej istnieniu. Owszem, z policyą miała Paje-

czakowa jakieś zastarzałe zatargi i nieporozumienia, dla zazegnania których co środa zapalała lampkę przed Matką Boską, a co piątek przed Panem Jezusem.

U takich to drzwi, późnym zimowym wieczorem, stanęła Hanka. Wiatr mroźny dął od strony Wisły, ze świstem przelatując puste, niezabudowane przestrzenie, kilka drzew przed Sapieżyńskim gmachem szumiało obnażonemi z liści gałęziami, na ulicy nie było widać nikogo, a migocząca gdzieś latarnia zdawała się powiększać jej głęboką ciemność.

Dziewczyna chwilę już stała, dygocząc z zimna i jakiegoś mimowolnego przestachu, kiedy u Franciszkanów odezwał się dzwon wieczorny. Było coś przejmującego w tych dźwiękach. Odezwał się raz, ciężko i żałośnie zakołysał na wietrze, zmieszał jego świsty i ucichł. Wtedy wiatr rozwinął skrzydła, zagwizdał przeraźliwie i słupem śnieżycy zakręcił. I znów cisza. Hanka trzęsącemi się ustami zaczęła odmawiać „anioł pański;“ z pod chustki jej dobywało się przyduszone miauczenie burego kota Walentowej. Szepecząc machinalnie pacierz, dziewczyna oglądała się z trwogą poza siebie, serce jej było w dziwnym jakimś ucisku.

Dzwon znów zahuczał. Natężony, ponury, groźny, bił w powietrze powolnym, przerywanym jękiem. A tuż zaraz leciał z za rzeki wichur z wielkim świstem, niosąc jakby wołania o pomoc przerażonych głosów. I znów cisza. Tylko drzewa przed koszarami skrzypiały, to gnąc się, to prostując swoje obumarle czoła. Dziewczyna skończyła pacierz i już rękę na kłamce kładła, kiedy się na nią natknął jakiś, z wor-

kiem na plecach idący człowiek, który też do sklepiku wchodził.

— Co u dyabła!—zaklął,—żeby tak na drodze stać! Wchodzić, to wchodzić, a nie, to miejsca nie zastępować.

Cofnęła się wystraszona. Drzwi się otworzyły i zamknęły z brzękiem. Dziewczyna została za niemi wahająca się, niepewna...

Wtedy dzwon ozwał się po raz trzeci, a milknące łkania jego spiżowej piersi rozplywały się w powietrzu mroźnem wielkimi kręgami, budząc jakieś echa dalekie.

Ale zrywająca się z nową siłą wichura stłumiła je i uniosła. Świst przeraźliwy przeleciał po kominach i dachach, potem się rozciągnął w jęki, potem w wycie głucho.

Hanka znów pacierz szeptać zaczęła. Nie wiedziała, czy ma iść, czy zostać. Coś ją przed tym progiem trzymało. Zdawało jej się, że w poświstach wiatru słyszy trwożny głos starej praczki, która woła na nią: „Hanuś! Hanuś!...” Odwróciła głowę ku Wisle, szepcząc „wieczny odpoczynek...”

Naraz od strony miasta dało się słyszeć szybkie tupotanie, któremu towarzyszyły świeże, dziecięce głosy.

Kilku chłopców zatrzymało się u pobliskiej latarni. Oglądali coś pilnie, pochyliwszy głowy.

— Abo ja głupi—mówił jeden,—wszystko babie dawać? Co papierki, to papierki, to już niech tam! Ale czterdziestówka i miedziaki nasze.

— To się wie—potwierdził najmniejszy, siedmio-

letni może.—Albo to się człowiek nie napracował? nie namarzał?...

I, jakby na potwierdzenie tego, tupał w miejscu drobnymi stopami i silnie pociągał zsiniałym, zadartym noskiem.

— Tylko dziel, Józik, po sprawiedliwości—upominał trzeci.

Józik się oburzył.

— Głupil! Po sprawiedliwości będę mu tam dzielił! Aboś ty co zarobił dzisiaj?

— Jak matkę kocham, Józik! Żebym tak szczęśliwie jutra nie doczekał, żebym się z tego miejsca nie ruszył—tłómaczył się zaatakowany, bijąc kulakiem w pierś drobną,—jak nie ja pierwszy zaczął tego grubasa.

— Widzicie go? pierwszy!... A nie Wicek to mu zastąpił od cukierni?...

— Ale—dodał mały.—Nie Wicek to?...

— Dać spokój! Dać spokój!—przemówił inny.—To gorzej, że ci Wicka chwycili... psianoga!... Znow się stara wścieknie...

— Stójkowy idzie, stójkowy!...—zawołał nagle małeć stłumionym głosem.

Rozpierzchnęli się w jednej chwili

Istotnie ktoś nadchodził ciężkim, miarowym krokiem. Hanka z determinacją nacisnęła kłankę. W tej chwili właśnie stała sama Pajęczakowa na schodkach prowadzących z tak zwanego „pokoju“ do kramu.

— Co to panna?—zapytała, widząc, że się dziewczyna przy drzwiach zatrzymuje.

Hanka podeszła i pocałowała ją w rękę.

— Chciałabym... chciałabym...

Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

— Pójdźno panna za mną — rzekła Pajęczakowa, cofając się ze schodków.

Brudna firanka poruszyła się i opadła za wchodzącą do „pokoju“ Hanką.

— Czegożes to panna chciała? — przemówiła paserka.

— Chciałabym zostać tu... służyć...

— Zostać? Może po to, żeby kąty przewąchać, a potem uciec?

— Nie ucieknę — rzekła Hanka głucho. — Nie mam do kogo uciekać...

— Panna co? Z pobytu? Czy może wprost... Dziewczyna milczała.

— I długo panna siedziała?

— Trzy lata...

— Fiul!... To o grube rzeczy szło widać...

Dziewczyna spuściła głowę.

Wtem z sąsiedniej izby buchnął krzyk, gwałt, słychać było szamotanie się, bójkę.

Pajęczakowa żywo zwróciła się ku drzwiom.

— A bodajże ich zaraza i z wrzaskiem takim!..

— rzekła. — Zuów się, kanalie, pobili!.. Skaranie boskie!

Czekała chwilę, nasłuchując, ale hałas wzmagał się jeszcze. Co gorsza, wydało jej się, że słyszy jakieś obce głosy. Ruszyła się do wyjścia.

— Czekaj tu panna — rzekła — zaraz...

Nie domówiła jeszcze, kiedy drzwi, do których szła, otwarły się gwałtownie, a w progu stanął policjant. Tuż za nim szedł drugi, trzeci, w głębi widać

było całą obławę. Ten, który szedł pierwszy, skoczył ku dziewczynie i chwycił to, co mu się zdawało ukrytym pod chustką łupem. Wrzasnęła Hanka prze-
razliwie i, zostawiwszy w ręku policyanta chustkę
wraz z miauczącym kotem, jak szalona rzuciła się na
schodki, potem przez kram do drzwi, a potrąciwszy
obławnika, który się tu z drągalem jakimś szamotał,
pędem puściła się ku Wiśle. W uszach miała świst
i -zum, w oczach ogień. Zdawało się, że ją wiatr
niesie. Za sobą słyszała pogoń, przed sobą widziała
rzekę. Głos jakiś żalosny, strwożony wołał na nią:
„Hanus! Hanus!...”

Dopadła brzegu, na lód, który tu mieliznę chwy-
cił—skoczyła i, zmrużywszy oczy, głową naprzód rzu-
ciła się w wodę.

Zabulgotała woda i zamknęła nad nią sine, mro-
czne, coraz dalej rozbiegające się kręgi.

W tej chwili nadbiegł strażnik i ujrzał dwie
sztywne, bielejące w ciemnościach ręce, które się wy-
wynurzyły z rzeki i znów znikły...

Dzwon u Franciszkanów zahuczał przeciągłym
jękiem.

VIII.

No, no! — mówił we dwa miesiące potem mło-
dy lekarz do jednej z chorych aresztantek, leżących

na ogólnej sali więziennego lazaretu. — No, no! wcale mi dziś nieźle wyglądasz. Za jaki tydzień to cię i wypiszę.

Poklepał ją po ramieniu.

— Strasznie wychudła—dodał sam do siebie.

Istotnie, zdawało się, że za każdym poruszeniem chorej słychać chrzęst kości, obleczonych zwiędłą i przyschniętą skórą.

— Porządkowa!—zwrócił się doktor do dozoru-jącei kobiety. — Nie możnaby chorej dawać trochę mleka, trochę bulionu, coś posilniejszego?..

Porządkowa podniosła ramiona i rozłożyła dłonie.

— A cóż posilniejszego?—odrzekła. — Dostaje herbatę, kleik... to, co każda.

Doktór cmokał językiem niecierpliwie. Powstrzymał się przecież i, zwróciwszy się do chorej, dzwignął jej poduszkę pod głowę.

— Nie leż tak ciągle—rzekł.—Próbuj się podnieść trochę, posiedzieć na łóżku.

Poruszyła się, chcąc spełnić polecenie, ale widać było, że jej to ciężko przychodzi.

Wtem przebiegający posługacz wsadził głowę przez drzwi wpółotwarte.

— Wielmożny z jakąś panią...—rzekł.

Doktór zmarszczył w pierwszej chwili czoło, potem się rozpogodził, i piękną, delikatną ręką przegarnawszy włosy ciemne, podszedł ku drzwiom.

Towarzystwo zbliżało się właśnie.

— Ale co tu — mówił uprzejmym głosem pan radca—to już nie puszcze pani, póki się nie zapytam

czy niema jakiego niebezpieczeństwa. Doktorze — dodał, stając w progu — czy można wejść?...

Doktor się uśmiechnął.

— Kto się nie boi, ten wszędzie wejść może.

— A widzisz pan! — rzekła dama. — Ja się nie boję.

Posunęła się ku progowi, weszła.

Na pierwszym z łóżek leżała młoda kobieta, więcej do szkieletu, niż do żywej istoty podobna.

Przy niej spało półroczne może, żółte jak wosk dziecko, poruszając przez sen blademi wargami.

— Dama pochyliła się nad niem.

— Ach, biedactwo! — rzekła — musi być głodne!

— Nic mu nie będzie do samej śmierci! — rozśmiał się dobrodusznie pan radca. — Patrz pani, jaki łakomy...

Wsadził mu w usta mały palec. Dzieciak chwycił go, wyciągnął i, nie otwierając oczu, zaczął ssać zapalczywie. Krople potu wystąpiły mu na żółtą, pomarszczoną twarzyczkę. Nie czując wszakże skutku swojej pracy, zaczął się krzywić do płaczu.

— Pójdźmy, pójdźmy, bo się rozbeczy — rzekła dama.

Pan radca usunął palec.

Istotnie, dziecko zaczęło piszczeć cienkim, słabym, jakby zduszonym głosem. Młoda matka stęknęła i, obróciwszy się z wysiłeniem, podała mu pierś wyschlą, pustą...

Zbliżyli się do drugiego łóżka. Leżała na niem na wznak kobieta z czerwoną, rozognioną twarzą i szklistemi, wlepionemi w sufit oczyma. Usta miała spalone gorączką, otwierała je od czasu do czasu,

przełykając ślinę, i dyszała ciężko. Pan radca szepnął coś doktorowi.

Doktor skrzywił się i ramionami wzruszył.

Nie można wiedzieć—rzekł. — Trzeci dzień dopiero... Tam i tak łóżka zajęte...

Poszli dalej.

— Ot, to natura silna—odezwał się pan radca, ukazując siedzącą na łóżku aresztantkę, z którą doktor rozma wiał przed przyjściem gości. — W styczniu się topiła, z wody ją już nieżywą prawie wyciągnęli, przeszła potem ciężki tyfus, i nic.

— Topiła się! — zawołała z wielkiem zajęciem dama i zaczęła się ciekawie przyglądać chorej.

— To nie! — dodał tryumfalnie pan radca — ale co za charakter! Ja zawsze powiadam, że gdyby choć połowę miała tej wytrwałości w dobrem, jaką ma w złem, toby była dzielna niewiasta! A podnieśże głowę!—dodał, biorąc chorą pod brodę i kierując twarz jej ku światłu.—Przystojna dziewczyna—rzekł jeszcze i uśmiechnął się łaskawie.

Chora z wysiłkiem odwróciła głowę w żądanym kierunku. Ciemne włosy wymykały się z pod czepka, rozsypując po zapadłych skroniach. Na chude policzki wybił ciemny, przelotny rumieniec, wąskie wargi drżały, a długie rzęsy u pociemniałych powiek rzucały jakiś siny mrok na tę twarz wyniszczoną, zużydniałą.

— Niech pani wyobrazi sobie—rzekł, puściwszy brodę chorej, radca—że to jest niepoprawna złodziejka. Dwa razy wypuszczona z więzienia, dwa razy uciekła z pobytu do złodziejskich szajek. Tak jej ten

chleb zasmakował. Kiedy ją ostatni raz oblawa wzięli, to do Wisły im z pod ręki skoczyła.

— Ze strachu?—zapytała dama.

— Gdzie tam ze strachu! z takiej już zaciętości złodziejskiej. O, już to jak się nam uda egzemplarz, to buzi dać!—Przyłożył dwa palce do ust, skłonił się i cmoknął grubemi wargami.

Na twarzy dziewczyny odbił się wyraz niewymownego udręczenia. Spuściła głowę na piersi i zacisnęła splecione ręce na siwej więziennej koldrze.

— Ach, Boże!—szepnęła dama. — Taka młoda dziewczyna. Czyż ci to nie lepiej, moje dziecko, poprawić się, żyć uczciwie?... Widzisz, jakie to skutki złego...

Chora milczała. Brwi miała ściągnięte, usta drżące...

— Co do niej pani będzie mówiła!...—rzekł pan radca.—Szkoda słów pani. Czy ja się to mało naga-
dałem, naperswadowałem!... I co? To stworzenie bez żadnego czucia!

Dama westchnęła i odstąpiła krokiem, zrezygnowana. Chora przykneęła oczy, pierś jej się podniosła ciężkim oddechem.

— Cóż, doktorze—odezwał się pan radca—pręd-
ko ona będzie mogła iść?

— Tak—odrzekł z namysłem doktor — za jaki tydzień... dziesięć dni...

— Do Grójca zajdzie?

— Ojej! Czemu nie!

Z piersi młodej aresztantki dobył się jęk głuchy; głowa jej opadła ciężko na twardą, więzienną poduszkę.

We dwa tygodnie potem, osłabła i chwiejąca się jeszcze po przebytej chorobie, szła Hanka nanowo w pobyt. Tym razem pan radca, nauczony smutnem doświadczeniem, przedsięwziął większe środki ostrożności. Z wystaniem Hanki nie czekał, aż się zbierze znaczniejsza partya, jak to zwykle bywa, ale kazał dziewczynę pędzić samowtór z Michałakową, która też już parę razy uciekała do dzieci, i, również jak Hanka, należała do kategorii „niepoprawnych.“

— Czyste zwierzę, jak Boga kocham! — mówił zirytowany zwierzechnik do swego pomocnika, pisząc trzecią już z rzędu „rozpiskę“ dla Michałakowej, która z nawpół obłąkanym wzrokiem, obdarta, posiniona przez pijaka męża, u drzwi stała. — Patrz pan tylko, do czego ona podobna! Młoda jeszcze kobieta, a jak wygląda. I na co jej to? Po co? Ma tam spokój, nikt palca na nią nie zakrzywi. Nie! Ona tu ucieka, żeby ją chłop pijanica poniewierał. Mówi, że do dzieci...

Przechylił głowę ku światłu i zaczął uważnie zdejmować włosy z końca pióra. U drzwi dało się słyszeć ciche szlochanie.

— To, powiadam panu, miałem raz wyzlicę Wolte, której szczeniaki podarowałem znajomemu ze wsi, coś z pięć mil od Warszawy. I wyobraź pan sobie, że to suczysko trzy razy uciekało i owe szczeniaki po jednemu w zębach zносиło. Kazałem zaniknąć, to była tak, że to ludzkie wyobrażenie przechodzi. No, i musiałem szczeniaki kazać potopić w gliniance, bo sobie rady dać nie było można. I co pan powie? Mo-

ja suka póty latała, póty wachała, aż je znalazła, i pozносиła mi je przed same okna. A wyla!.. Żona mi mało spazmów nie dostała, słuchając tego wycia. Jeszcze akurat Ignas był mi wtedy chory... Na, masz! — rzekł, podając strażnikowi rozpiskę. — A pilnuj mi ich, jak oka w głowie. Jak baba albo dziewczyna drapnie, sam za to odpowiesz.

Szła tedy Hanka z Michalakową, która tym razem zabrała ze sobą najmłodsze dziecko, z pięć lat już może mającego chłopca, z wielką głową, odętym brzuchem i zgiętymi w pałąk, bezwładnymi nogami. Ten brzuch, te nogi i długie, wątle ręce, któremi dziecko obejmowało szyję niosącej je matki, czyniły je podobnem do wielkiego pajaka, a blade, szkliste, na wierzchu głowy osadzone oczy, i szary łachman, który je okrywał, jeszcze to podobieństwo zwiększały. Dziecko nie mówiło, nie płakało nawet, ale zwiesiwszy swą ogromną głowę na ramię matki, odzywało się niekiedy przykrym, jakby ptasim piskiem.

— Cichoj, cichoj, jagódko! — mówiła wtedy Michalakowa, gładząc jego obrzękłą, bladą twarzyczkę — kupi ci matka pierniczek, iuo zajdziem.

Inginając się pod ciężarem chłopca, przyspieszała kroku, Hankę wyprzedzała nawet.

— Ttu!.. — spluwał idący za nimi strażnik. — Czortby wziął!.. Ot, kraszanka!

I znów szli w milczeniu.

A wkoło nich rozmaiła się cudnie piękna wiosna. Był ranek, a powietrze pełne pogody i woni. Wielkie, stare topole, w dwa rzędy wzdłuż gościńca sadzone, złociły się pod słońce lśniącem, żółtawym jeszcze, świeżo z pączków roztulonym liściem; po sa-

dach kwitły czeremchy i tarnie, nad trawami zbóż i łąk brzęczały upojone życiem owady, ze spadków polnych uciekała z głośnym szmerem bystra, modra woda, ciepłe powiewy przynosiły z oddali szumy młocianych gajów, skowronki zalewały powietrze dzwoniącą pieśnią. Z tych wszakże trojga nikt nie zważał na to.

Owszem, oni sami zdawali się być jakąś ciemną, ruchomą plamą, na ten słoneczny widnokrąg rzuconą.

Plama ta posuwała się coraz dalej, jakby spychana przez ten jasny, wesoły gościniec, po którym toczyły się bryczki i wozy, parskwały rzeźwo konie i rozlegały się zmieszane, ochocze głosy ludzkie. Wszystko dążyło w tę samą stronę, bo w miasteczku jarmark wypadał; nikt przecież nie pozdrowił tych idących śpiesznie kobiet, za którymi z karabinem na ramieniu postępował żołnierz, przy wymijaniu każdego woza, każdej kupki pieszych powtarzający grubym, twardym głosem swoje:

— „Idź!... idź!...”

Zbliżali się do wsi. Nad drogą, niedaleko granicznego kopca, na którym stała bosa pastuszka gęsi, w jednej, otwartej na piersiach ko zulinie, z zieloną różgą w rękę, pomiędzy czterema symetrycznie zasadzonymi wierzbami wznosił się krzyż poczerniały, u stóp którego, jakby całą garścią rzucone, zakwitło kwiecie polne.

— O Panie Jezu Chryste! — jęknęła Michalakowa, której coraz grubsze krople potu po czole spływały. — O miłosierny Jezusieczku, zmiłuj się nad nami!...

I nie puszczając z rąk dziecka, na kolana padła, a ucałowawszy zroszoną jeszcze ziemię, zaczęła mówić pacierz tym półgłosnym, przerywanym ciężkimi westchnieniami szeptem, który jest właściwy żarliwej modlitwie naszego ludu.

Stało się to w chwili, kiedy strażnik zapalał swą „fajkę,” klnąc przez zęby, że mu ognia chwycić nie chciała. Hanka przeżegnała się i także uklęka. Na gościńcu nie było nikogo.

Rozkołysało się serce Michalakowej od owych ciężkich westchnień, a stłumiony szept pacierza przeszedł w głośną, jęczącą modlitwę.

— O Panie Jezu Chryste! O najśłodszy Jezu—sieczkul—mówiła, wznosząc oczy ku wielkim, sterczącym gwoździom, któremi były przybite nogi Ukrzyżowanego—ochfiaruję ci też ten pacioryszek na cześć i chwałę Twoją przenajświętszą, na zbawienie duszy mojej, amen! A ochfiaruję ci go, Panie Jezu Chryste, za te moje sieroty, coś je stworzyć i odkupić raczył męką Swoją przenajświętszą, a com ja, matka, ostawić je musiała na poniewierkę i na zatracenie... I ochfiaruję ci ten pacioryszek za tego mizerotę, co go oto niosę, i za tę drogę moję, i za wszystkie grzechy i ciężkości moje i krzywdy!.. A jakoś się, Panie Jezu Chryste, w Ogrójcu krwawo pocik, tak mnie dowspomóż zwyciężyć tę troskę i tę ciężkość moję. O Jezu, Jezu miłosierady, zmiłuj się nad nami.... Zamilkła. Wielkie łzy spływały po jej znędniałej, wzuiesionej ku błękitom twarzy. Poruszała wargami.

mi bez głosu, jakby się porozumiewając w ciszy z Tym, do którego o pomoc wołała.

Co do Hanki, ta nie zdawała się być bardzo wzruszoną. I ona wprawdzie odmawiała zdrowaśki, ale jej oczy, pełne posępnego ognia, utkwione były daleko przed siebie, a brwi ściągnięte nadawały jej spojrzeniu wyraz twardy i niepokieszony.

Kłęcząły jeszcze obie kobiety, kiedy na gościńcu dał się słyszeć turkot. Nadjeżdżała bryczka.

— Idź! idź! — krzyknął strażnik na Michalakową, która w zapomnieniu swoim nie słyszała tego rozkazu.

Ruszyli.

— Dlaczego te kobiety, tatku, żołnierz prowadzi? — spytał siedzący na bryczce obok ojca chłopiec.

— To złodziejki! — rzekł ojciec, skrzywiwszy się wzgardliwie.

— Ale ja widziałem, tatku, że one pacierz mówiły pod krzyżem...

— Co tam taki złodziejski pacierz! Pan Bóg takich pacierzy nie słucha.

Kiedy strażnik przyprowadził do magistratu Blacharżównę i Michalakową, okazało się, że miejsca na nie w kozie magistrackiej niema. Przed samym jarmarkiem zdarzyło się kilka większych kradzieży w okolicy, dopuszczono się nawet rabunku na publicznej drodze, wielu więc „pobytowych” było pod tymczasowem śledztwem, i nietylko oficjalna koza, ale i jej przyległości na areszt zajęte zostały.

W takich okolicznościach niepodobna było bardzo drobiazgowo pilnować się litery prawa, a to tem

więcej, że pan burmistrz sam od dni kilku cały ciężar urzędowania na swych barkach dźwigać musiał, ponieważ pan sekretarz wyjechał na parotygodniowy urlop, zostawiając w zastępstwie swoim jakążego się kancelistę, z którym krewki zwierzchnik w żaden sposób dogadać się nie mógł. Chwyciwszy się tedy za głowę, na którą mu spadał ten dodatkowy, niespodziewany kłopot, pan burmistrz od strażnika „rozpiszki“ odebrał, „kwit“ mu odpowiedni dał i kazał się obu kobietom wynosić precz z kancelaryi, gdyż ścisk w niej był nie do opisania. Zrobił to tem spokojniej, że istotnie ta zmizerowana dziewczyna i ta kobieta z kalekiem dzieckiem na ręku litość raczej, nie surowość budzić mogły.

Hanka, która w miarę jak się do miasteczka zbliżali, zaczęła się trząść pod wpływem jakiegoś nieprzytomnego strachu, którym jej oczy gorączkowo pały, uspokoiła się teraz, a raczej nanowo zapadła w tę głuchą, tępą obojętność, jaka od owego wieczora na Zakroczymskiej była właściwym stanem jej duszy. Usłyszawszy, że ma iść precz, raz tylko westchnęła, jakby z uczuciem wielkiej ulgi, a potem zawróciła się powolnym, ociężałym ruchem, nie zdając się słyszeć nawet bardzo dobitnego „rugania“, które strażnik z własnej już gorliwości na drogę jej dokładał.

— I gdzie teraz Hannusia pójdzie? — zapytała Michalakowa dziewczyny, kiedy się znalazły za kancelaryjnym progiem.

— Albo ja wiem? — odrzekła Hanka posępnie. — Tak oto pójdę... Roboty i tak nie znajdę.

— To się już razem trzymajma—mówiła dalej kobieta. — Najgorzej, żeby jakie posiedzenie znaleźć. Już mi do cna ręce pomdlały...

— Ano, to mi go dajcie, poniosę.

Chciała dźwignąć chłopca, ale się sama w tył przegięła i mało nie padła.

— Nie mogę—rzekła,—tak mnie to choróbsko zjadło, co strach. O la Boga!...

Chwyciła się ściany i stała przez chwilę jak zamroczona.

— Pójdźma ino kęs z drogi—odezwała się Michalakowa.—Chłopaka posadzę, Hanusia mi go popilnuje, a sama skoczę tu do jednej... Może się o co przepytam.

Zeszły. Chłopak z wetkniętą w rękę bułką został na opiece Hanki. Nie wiedzieć wszakże dlaczego, bułki nie jadł, tylko pisał i oglądał się na strony. Minęła godzina, minęły dwie, nareszcie Michalakowa wróciła.

— Gdzie tam!—zawołała już zdaleka.—Co się kto dowie, że z dzieciakiem, to ani gadać nie chce.

Zasepił i na ziemi siadła, podparłszy rękami głowę. Chłopca na ręce nie wzięła, i z boku tylko na niego patrząc, wdychała ciężko.

Nadchodził wieczór. Dzieciak pisał nieustannie i wyciągał do szyi matki długie, cienkie ręce.

— A cóż!—rzekła wreszcie kobieta, biorąc go na kolana.—Trzeba się chyba tu dziś przenocować.

Hanka nie nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana, z przymkniętymi oczyma, z głową w tył przechyloną i o żerdzie płotu opartą. W zapadają-

cym zmroku twarz jej wydawała się przeraźliwie bladą.

— Aby do jutra! — szepnęła półgłosem Michałakowa, jakby dla dodania sobie otuchy, okrywając uczeptionego u szyi swej chłopaka, którego wielka głowa zwisała jej bezwładnie przez ramię. — Aby do jutra!

Ale jutro przeszło, przeszło i pojutrze, a kobieta roboty znaleźć nie mogła.

— Z dzieckiem? Cóż to za robota z dzieckiem? jeszcze z takim! — wymawiał się każdy. Istotnie! Po co mieli brać babę z dzieckiem, „jeszcze z takim,” kiedy było aż nadto rąk młodszych, swobodnych, które za mizerną zapłatę gotowe były cały dzień kopać, grabić, sadzić, co kto chciał. Małoż to tam „pobytówek” razwraz przypędzano?

Tymczasem Hanka wynajęła się do pielienia, wprowadzie za życie samo, ale i to dobre. Cięższej roboty poradzić jeszcze nie mogła, a i ta szła jej nie-
sporo; najmniejszy dzieciak wyprzedzał na zagonie tę nędzną, ocieężałą dziewczynę, na którą gospodarz razwraz fukał i obiecywał „przepędzić.” Nie przepędzał jednak, litując się jej nędzy, a nadto pozwolił jej sypiać „na starym ogrodzie” w szopie, w której się też Michałakowa z Jaśkiem swoim na noc tuliła. Gdzie się obracała we dnie, z czego żyła, czy głód marła, czy żebrała — nie wiedzieć. Ale przez te kilka dni zczerniała i schudła strasznie, a niechący się już jej szyi puścić dzieciak piszczał po nocach coraz przeraźliwiej. Może był głodny, może mu zimno było w tej ciemnej, zatęchłej szopie. Matka nie miała już ani chustki, ani fartucha, któremi okrywała go zrazu.

Upłynął tak tydzień cały, a Michalakowa roboty dostać nie mogła.

— Choćbym dzieciaka napowrót do ojca odniosła?...— rzekła raz niepewnym głosem do leżącej już w barłogu Hanki. — Tylko że mi nijak ztąd biec. Złapią jeszcze... A i tam... Boże zmiłuj się! Toć go to pijaczysko na nic sponiewiera... zatłucze!... Żeby to jeszcze dzieciak, jak inné... Do ludzi bym, jak te starsze, oddała. Ale tak!..

Nie dokończyła i westchnęła ciężko. Potem zaraz zaczęła piszczącego Jaska głaskać po ogromnej głowie, jakby mu chcąc powiedzenie to nagrodzić.

— Oj, robaku ty mój, mizerny robaku!—mówiła.—Lepszaby tobie śmierć, niż takie życie...

Umilkła i zadumała się, kiwając głową.

Upłynęło znów dni kilka. Jednej nocy obudziła Hankę.

— O la Boga! Hanuś—rzekła.—Tak mi ino coś szepcze a szepcze, coby Jaska uśmiercić...

— O... co też to Michalakowa wygaduje!—odrzekła dziewczyna.—Albo to Michalakowa nie matka, żeby zaś takie rzeczy wygadywać! Niech ino Michalakowa krzyżem świętym się przeżegna i śpi. To tak źle do człowieka okazyi szuka...

Przeżegnała się kobieta, nie usnęła wszakże, i ciężko stękając, przewracała się na garści barłogu. Jasięk przez sen pisał, jakby duszony.

I znów przeszło dni kilka, z których każdy był nową męką i nową nędzą dla tej matki i dla tego dziecka. Kobieta ledwo nogi powlóczyła za sobą, dziecko zapuchło na twarzy.

— Hanuś — rzekła raz Michalakowa z wieczora, — połóż ty chłopaka od swojej strony, bo mnie nocami źle spać nie daje, ino żeby go uśmiercić i uśmiercić... Co jego za życie takie z tem kalectwem, albo i moje z nim?... Ani ja roboty, ani ja łyżki strawy...

— W imię Ojca i Syna! — rzekła Hauka. — Niech ino Michalakowa da tu do mnie chłopaka, a jutro do księdza idzie, wypowiada się, to źle odstąpi.

Ale w nocy Michalakowa, nagle się ze snu zerwawszy, na barłogu siadła.

— Jezus, Marya, Józef, ratuj duszy mojej!... — jęknęła głucho, i znów: — Jezus, Marya, Józef...

Nazajutrz, kiedy dziewczyna do roboty poszła, wstała Michalakowa, umyła swego Jaska, rozgarnęła mu włosy na jego ciężkiej, giboczącej się na obie strony głowie, odziała go, przeżegnała i, wygrzebawszy z barłogu skórę chleba, dała mu ją w rękę. Czyniła to wszystko z jakimś cichym pośpiechem, bez słowa, jakby odbywając konieczną i bardzo pilną pracę, a kiedy dzieciak chleb jeść zaczął, rzuciła się krzyżem na wilgotną ziemię szopy i biła o nią czołem. Głuchy jęk szedł jej z piersi zamiast pacierza, a zatałmane i wyciągnięte nad głowę ręce podnosiły się i opadały ciężko, jakby w mocowaniu się wielkiem, śmiertelnem...

Jasiek tymczasem zjadł chleb i piszczeć zaczął. Wtedy podniosła się kobieta i uderzyła się trzy razy w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłościw moie grzesznej... poczem pożegnała się, wzięła chłopaka na ręce i wyszła w pole.

Tegoż dnia miasteczko całe przerażone zostało wiadomością, że jedna z „pobytówek“ utopiła dziecko

w gliniakach. Sprawiedliwość wszakże pocieszała się tem, że dzieciobójczynię, dawniej już notowaną jako niepoprawną, ujęto na miejscu zbrodni i miano do głównego więzienia odstawić.

Kiedy po wzięciu Michałakowej pan Majcher Kazimierz, cechmistrz stolarskiego kunsztu i starszy bractwa „Miłosiernego Serca Jezusowego“, a obecny chlebobawca Hanki, dowiedział się, że dziewczyna w jego szopie na starym ogrodzie razem z dzieciobójczynią sypiała, uczuł się tem niesłychanie na swoim brackim honorze dotknięty i wypędził Hankę natychmiast, wprost od miski, do której właśnie w południe na ziemi głodna siadła i w której już nawet łyżkę umaczać zdążyła. Wypędzenie to wszakże nie narażiło Hanki na poszukiwanie innej roboty, tudzież innego barlogu, pod innym gdzieś płotem, gdyż ledwo wyszła za wrota, spotkała się ze strażnikiem, który ją do ratusza zabrał.

Potrzebowano jej tam.

Wniośkowano słusznie, że kiedy sypiała razem z Michałakową, to niezawodnie musi coś i o tem utopieniu dziecka wiedzieć. Wprawdzie matka nieszcześliwego Jaska przyznawała się do wszystkiego sama, krzycząc i lamentując przeraźliwie, bijąc się w piersi, wzywając miłosierdzia boskiego i głową tłukąc o ziemię. Wszelako mogły tu zachodzić jakieś „okoliczności“, a okoliczności, jak wiadomo, zmieniają wszystko. Hanka szła śpiesznie i bystro patrzyła przed siebie mętnym, jakby nieprzytomnym wzrokiem. Chwilami zdawało jej się, że idzie przez wodę, to znowu że ma nogi z drewna, to że jest noc czarna, to znowu żal jej

było, że nie zjadła choć z parę łyżek jagieł. Ot, mąciło jej się w głowie poprostu.

Tymczasem niebogi Jasiek leżał na brzegu glinianki odęty i siny, w umazanej rudem błotem koszu linie, którą już słońce wysuszyć zdołało, i z przerażeniem w szklistych, wypukłych oczach, których śmierć nie zdołała zamknąć. U jego cienkich nóg i rąk płatało się wodne zielsko, na którym błyszczały jeszcze gdzieniegdzie jasne krople wody. Nad wielką głową jego zwijały się i rozwijały z błyskawiczną szybkością czarne jaskółcze wianki, a konik polny ćwierkał mu w samo ucho swoją jednostajną, usypiającą piosenkę. Nie słyszał tego wszakże nędzny Jasiek, z wielkiem jakimś zdumieniem patrzący się w samo słońce...

Tego ranka pozajmowano w szkodach mnóstwo bydła, żrebiąt i gęsi bez liku, gdyż pasące je dzieciaki zbiegły się wszystkie w jedną kupkę i przypatrywały pilnie małemu topielcowi. Starszych widzów nie brakło także. Kilka mieszczanek przypomniało sobie nawet, że już tego dzieciaka widziały, jak z nim matka chodziła, o robotę prosząc.

— Ale ktoby tam, moja pani, robotę takiej dawał?...—mówiła jedna.

— To się wie... — przywodziła druga, wzruszywszy ramionami.

— Dzieciaczysko pokrakowate jakieś, a takie zuarowione, że się baby puścić nie chciało.

— Oj, pozbyła się go, pozbyła, moja pani!

— To ci matka!—dodała inna, kiwając głową.

— Suka, nie matka!...

— Że też to Bóg miłosierny na świętej ziemi trzyma i nagłą śmiercią nie skarzel!

Powzdychały jeszcze chwilkę, potem ta i owa do domu wracała. Ale w drodze pod samem miasteczkiem, pomiędzy pierwszym jego szynkiem a letnim „barakiem,” przed którym żołnierze czyścili konie, znów trafiły na zbiegowisko jakieś. Na ulicy, w kurzawie, którą podnosiły jadące wozy, leżała młoda dziewczyna. Jedni mówili, że pijana, inni — że ma „choróbkę.” Ktoś widział ją świtem, jak się pod barakami włóczyła, jak w szynku piła, jak potem wybiegła z niego i, nagle się zakręciwszy w miejscu, padła, parę razy połrzuciła ciałem, wyciągnęła się i zeszywniała jak drewno.

Istotnie, leżąca dziewczyna twarz miała ciemnoczerwoną, pianę na ustach i dziko zurżone oczy. Ktoś litościwy rzucił jej chustkę na twarz.

W tej chwili właśnie prowadzona do ratusza Hanka nadeszła i w tył się cofnęła.

— Mańka — szepnęła, rzuciwszy okiem na brudną, w szmaty potarganą różową suknię i sterczące z pod niej stopy drobne.

Odwróciła głowę, żeby ją zobaczyć raz jeszcze, ale strażnik nie pozwolił i poszli dalej.

W ratuszu, w głównej sali, pusto było i cicho. Muchy tylko brzęczały po zakurzonych szybach, a zająkliwy kancelista, rozparłszy się w burmistrzowskim fotelu, śmiał liwego papierosa i marzył. Pora była obiadowa, mógł więc to czynić tem swobodniej, że już przed chwilą spożył dwa serdelki i trzy bułki, które, w oczekiwaniu na prezydenturę i połędwiec, tykał tymczasem... bez zająknięcia.

Przybycie strażnika i prowadzonej przez niego dziewczyny spotęgowało jeszcze błogi nastrój duszy kancelisty. Bądź-co-bądź, był on tu w tej chwili najwyższą i jedyną władzą. Kiedy więc Fedorenko, wsadziwszy głowę do drugiego pokoju i przekonawszy się, że tam niema nikogo, mruknął półgłosem, że dziewczynę zamknąć chyba tymczasem będzie musiał: — Do ko... ko... ko...mórki z... z... z... niał — wykrzyknął kandydat na burmistrza, nie chcąc stracić jedynej może sposobności wydania urzędowego rozkazu, a zarazem próbując powagi i głosu.

Próba wypadła świetnie.

„Ko... ko... ko...” i „z... z... z...” szeroko rozległo się po pustej sali, a Fedorenko pchnął dziewczynę przed sobą do sieni.

Kancelista pozostał w fotelu sam, z piersią wziętą, brwią zmarszczoną, dyktatorskim gestem, którym tylko co rozrzucił po ziemi pudełko stojących na biurku burmistrza zapalek, i palającym nieograniczoną pychą, ku drzwiom zwróconem spojrzeniem.

W tej chwili wszakże drzwi się te otwały, a w progu stanął pan sekretarz. Kancelista zerwał się, schylił i zaczął zbierać po podłodze rozrzucone zapaliki.

Pan sekretarz niewiele się odmienił.

Taż sama urzędowa maska obojętności na twarzy, też sama żółta i niezdrowa cera, też same wydęte wargi i czerwone u powiek obrączki.

Wszedł, drzwiami trzasnął i, nie spojrzawszy nawet na kancelistę, stojącego właśnie na czworakach pod biurkiem zwierzchnika, do swego pokoju się zwrócił.

Strażak wpuścił za nim Hankę i drzwi zamknął.

W jednej chwili oblicze młodego urzędnika zmieniło się do niepoznania. Płomień po nim przeleciał, potem chmura, potem znów płomień, a płaska twarz jego z grubym, zadartym nosem i wydatnymi szczękami zrobiła się podobna do czerwonego, dymiącego żuźla.

Przez chwilę milczał i czytał coś, stojąc ku oknu zwrócony. Widocznem było, że siłił się, aby opanować właściwe sobie, nerwowe, targające ruchy. Usiłowania te wszakże były daremnemi.

Ręce jego z chrzęstem gniotły trzymany papier, mięśnie policzków i kąty ust drgały. Zwrócił się wreszcie do Hanki i objął ją długiem, jaskrawem spojrzeniem.

— Trafiałś się do mnie?... a?... — przemówił swoim skrzypiącym głosem, mrużąc palające oczy.

Dziewczyna patrzyła ponuro w ziemię.

— Na nic, było tobie uciekanie?... I do kogo uciekałeś?... a?... Do kochanka uciekała?...

Dziewczyna milczała.

— Więc cóż?... Gadać nie umiesz? Niemową się zostałeś?...

Przysunął się bardzo blisko i pochylił nad nią, owiewając ją gorącym oddechem.

— Gadaj zaraz! Do kochanka uciekałeś?... a?... — mówił przerywanym, świszczącym, podobnym do stłumionego chichotu głosem.

Dziewczyna krokiem w tył się cofnęła i plecami o drzwi wsparła.

Chwycił ją za ramię i zaklął wściekle:

— Stój ty taka!... Na wolności nie chciała... Tak w kozie kochanka nie będzie... Ja będę!... ja!... ja!...

Cisnął ją ku ziemi, gwał, łamał, palce jego wpiły się w jej ramię jak kleszcze. Aż nagle sam się zachwiał, pobił, a zduszony głos jego przeszedł w niewyraźne mruczenie.

— Matko przenajświętsza... Matko przenajświętsza... — szeptała dziewczyna, zacisnąwszy na piersiach ręce, a oczy jej dziko latały po kątach, jakby szukając ratunku. Nagle puścił jej ramię, otrząsnął się i wolnym krokiem ku oknu obrócił. Chwilkę tak stał, odgarniając włosy i wodząc ręką po twarzy, jakby chciał z niej zetrzeć ślady niedawnego wzburzenia, splunął potem, przeszedł się po kancelaryi i, nie spojrzawszy na dziewczynę, znów pod oknem stanął. Hanka trzęsła się jak w febrze, oczy jej pociemniały jak dwa zgazzone węgle, ząb o ząb szczykał głośno.

— Fedorenko! — zawołał pan sekretarz zmienionym głosem.

Strażnik wszedł i stanął wyprostowany, czekając rozkazu.

— Zabrać ją i wsadzić! Do sprawy będzie potrzebna — rzekł pan sekretarz, nie odwracając się od okna.

Fedorenko dwa palce do czoła przyłożył i popchnął dziewczynę do wyjścia. Kiedy się drzwi za nimi zamknęły, rzucił się pan sekretarz na krzesło, przymknął oczy i, przechyliwszy się na poręcz, westchnął ciężko. Na twarz jego wybił wyraz wielkiego niesmaku i znużenia. W tej chwili był to prawdziwie godny pożałowania człowiek.

Hanka szła przed strażnikiem wolnym, chwiałym się krokiem, z głową pośpnie ku ziemi zwieszoną.

— Nu! Nu!... — wołał, następując na nią, Fedorenko, ale zdawało się, że nie słyszy tego. Plecy jej i ramiona wzdrygały się chwilami, jakby ją przetrzymywało wielkie jakieś zimno. W kancelaryjnej sali nie było jeszcze pana prezydenta, ale już zgromadzać się zaczęli interesanci, między którymi porządek czynił Maczusi.

Naraz dziewczynie oczy zabłysły. Schyliła się i podniosła coś z ziemi, zanim strażnik, którego woźny tabaką częstował, ruch ten zauważył. Patrzyła teraz na ziemię pilnie, a po jej śniadej twarzy przelatywały krwawe łuny. Nim doszli do proga, schyliła się po raz drugi. Fedorenko podnosił w tej chwili rękę do nosa i oczy mrużył, szykując się do dyskretnego kichnięcia.

Kiedy dziewczyna z ratuszowego gmachu wyszła i na świat boży spojrzała, wydało jej się, że wszystkie dachy są w ogniu i że wielka luna nad miasteczkiem stoi. Krzyknęła przeraźliwie i zatoczyła się na Fedorenkę, ale wnet, dostawszy od niego kulakiem w bok, oprzytomniała.

— Na, na, ty co?... — huknął strażnik. — Opiła się?... pijana?...

Jęknęła głucho dziewczyna i szła dalej śpiesznie.

...Oj, opila się, opila piolunu, ziela gorzkiego...

Oj, opila się łez gorzkich i mętnej, wiślanej wody...

Strażnik kłął i splawał przez zęby. Był zły. Obiada dotąd nie jadł przez tę „nawidzoną.”

domyślał się przytem, że Pasecki, pisarek akcyzny, przy żonce jego, jak zwykle, siedzi a szepcze. Kiedy więc doszli do komórki, pchnął gwałtownie dziewczynę pięścią w plecy dla ulżenia sobie i hałaśliwie drzwi na kłódkę zamknął.

Hankę ogarnęła ciemność. Przeleciawszy, sama nie wiedząc jak, przez próg wysoki, stała chwilę w pośrodku izby oszołomiona, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Po chwili dopiero zobaczyła trochę światła, wpadającego przez szczelinę deszczulek, któremi zabito okienko. Wtedy obejrzała się po kątach. Nie wiele się tu zmieniło. Deskę tylko nową dano w ścianie, stojąca pod nią beczka rozsypała się, a klepki i obręcze leżały na tem samem miejscu. Dziewczyna patrzyła na to wszystko jakimś dziwnie tępym, osłupiałym wzrokiem. Naraz uczuła wielkie zmęczenie i, rzuciwszy się na leżącą w kącie garść słomy, twardo zasnęła.

Spała tak parę, może kilka godzin. Kiedy się obudziła, wszystkie kości ją bolały, w skroniach jej biły tętna, a zeschnięty język nie pozwalał przełknąć śliny. Siadła na słomie i szeroko otwartemi oczyma patrzyła w ciemność. Ostatni, skośny promień zachodzącego słońca wpadł przez szczelinę u okienka i odbił się krwawo na przeciwległej ścianie. Wtedy dziewczyna, jakby przypomniawszy coś sobie, zerwała się nagle i zaczęła czegoś szukać za pazuchą. Przysiadła potem na ziemi, zgarnęła barłóg z pod siebie i, poniosłszy go w kąt, gdzie pod ścianą leżały klepki rozsypanej beczki, zaczęła je starannie nakrzyż układać, jak to czynią kobiety wiejskie, rozpalające ogień na kominie. Czerwony promień słońca ślizgał się po ścia-

nie, przyświecając robocie dziewczyny. Podniosła się teraz i poszła do drugiego kąta, gdzie leżały wióry od składanego tutaj dawniej drzewa. Zebrała je, podsy-pała pod ułożone na sobie klepki i zaczęła zwijać w pęczki słomę z barłogu. Chwilami przestawała, jakby zmęczona, i wypoczywała, dysząc ciężko. Na-reszcie, kiedy wszystko skończyła, sięgnęła na piersi za grubą koszulę i wydobyła dwie podniesione w kan-celaryi magistrackiej zapalki. Pierwsza z nich za-tliła się tylko modrym płomykiem i zgasła.

Hance zaczęło bić serce jak młotem.

— Jezu... Jezu... Jezu... — szeptała zbielełemi z przerażenia usty, zapalając drugą i podsuwając pod nią zwinięty pęczek słomy.

Ogień chwycił. Sine płomyki zaczęły pełzać po słomie. Dziewczyna odetchnęła głęboko. Poczem z najwyższą ostrożnością podłożywszy palący się wie-cheć pod wióry, schyliła się i zaczęła dmuchać na nie. Twarz jej, oświecona wzmagającym się płomieniem, zapalała się, to znów gasła. Jakiś twardy, dziki, nieubłagany wyraz wybijał na nią z wolna.

Skośny promyczek słońca ześliznął się po ścianie i zagasił.

Ognisko rozgorzało szybko, napełniając izdebkę lekkim, sinym dymem. Czerwony płomień biegł w górę, chwytając powiewające od szybszego ruchu powietrza pajęczyny, wielkie pająki zaczęły biegać po ścianach, wiszące od pułapu długie żdźbła słomy naładowanej na strychu komórki, pełgały sinemi iskry i gasły. Wkrótce zaskwierczały smolne deski ściany, pod którą paliło się ognisko, a roztopiona żywica zaczęła ; o nich spływać w bursztynowe sople.

Podniosła się wtedy Hanka w pół ciała, i na klęczkach przysiadłszy, patrzyła posępnie w ognisko. Potem zaczęła się kiwać w tył i naprzód, jakby w żalonym rozpamiętywaniu, załamawszy ręce na kolanach.

Niepocieszone jej oczy patrzyły w jakąś przeszłość daleką, daleką... Widziała może ubogi warsztat rodzinny, ojca, matkę, brata, Piotra... Nagle pierś jej się zatrzęsła pod grubą koszulą, usta zadrgały, opadły powieki, a z pod nich wybiegły dwie łzy wielkie, jasne, i potoczyły się po znędniałej twarzy.

Raptem podniosła się, chwyciła za piersi. Dym gęsty i żrący wypełniał komórkę całą. W głowie jej się kręciło, pobiegła do okienka i, zasłoniwszy twarz rękami, na ziemię padła. W tej chwili właśnie z trzaskiem zerwała się część przelonego pułapu, czerwony płomień na dach się wyrzucił, a ognisko buchnęło gwałtownie, zasilone przyływem świeżego powietrza.

Napół zduszona i oślepiona dymem dziewczyna porwała się raz jeszcze z ziemi, jak obłąkana zaczęła biedz do drzwi, chciała wołać ratunku, ale głosu dobyć już nie mogła i runęła jak kłoda u proga.

Jednocześnie krzyk i gwałt dał się słyszeć z zewnątrz.

— Gore! Gore!...—krzyczano przeraźliwie.

— Pali się! Gore!... Ratujcie!...

Hanka słyszała jeszcze, jak się te krzyki zbliżały, jak wyważono drzwi komórki, poczem stała się nad nią wielka, wielka cisza

IX.

Przed starym Arsenalem bzy cudownie zakwitły tej wiosny. Wielkie ich, pięknie okrzesane i symetrycznie zasadzone krzaki osypane były jasno liliowymi gronami kwiatów, których silna upajająca woń rozchodziła się szeroko.

Pod niemi w gwiazdzistych i owalnych kłombach bujały irysy błękitne, a wśród srebrnej zieleności traw włoskich wychylały się gęsto główki zroszonych stokroci i wielkie, aksamitne bratki. Powietrze pełne było świegotu i ożywczego chłodu. Na wysypane zwirem ścieżki młodociane kasztany i akacje rzucały drżące, lekkie cienie, a delikatne spireje zakrywały jasną zielenią swych drobnych liści i białością puszystego kwiecia pleśń wilgotną, której wielkie, rude plamy występowały na zewnątrz żółtych murów, jakby zdradzając ich wewnętrzną zgniliznę.

Na ulicy była cisza zupełna, godzina może czwarta rano, kiedy niska, sklepiona brama Arsenału, po której obu stronach rozciągał się ów wirydarz kwietny, zaskrzypiała na swoich rdzawych zawiasach i otworła się z głuchym łoskotem.

Strażnik, który ją odemknął, był to niski, zeschły starowina, z białemi jak mleko wąsami, po sapersku nad górną przyciętymi wargą, w krótkim spencerku, drepczący na cienkich, obutych w miękkie pantofle no-

gach. Drżące jego ręce miały na sobie czerwone welniane mitynki, jakie niekiedy noszą stare kobiety, takież szalik okręcał jego wątłą szyję. Głowę miał siwą, obnażoną, trzęsącą się ustawicznie, a grzbiet mocno wypukły zgięty był trudami i wiekiem.

Otworzywszy z wysileniem oba wierzeje bramy, starowina stanął przed nią, nosem wiatru pociągnął, spojrzał w górę na rozbiegające się obłoczki białe i mruknął:

— Będą dziś mieli pogodę, kanalie...

W tej chwili wzmógł się szebiot jaskółek, które nad samą bramą ulepiły gniazdo.

Odwrocił się stary, podniósł trzęsącą się głowę i, przysłoniwszy ręką czoło, patrzył na zwijające się ptaszęta.

— Kanalie!...—mruknął z uśmiechem zadowolenia. — Niedługo się już wywiodą...

Podreptał potem do sztachetków kwietnika, szeroko rozstawił cienkie, drżące nogi, ręce w tył założył na pochyłym grzbiecie i z wielkim zajęciem przypatrywał się pełzającemu po żwirze ślimakowi, który z jakiegoś nocnego bałamuctwa na grządkach stokroci pod liście irysu powracał, wystawiwszy delikatne i ruchome różki na świeżość poranku.

— Kanalia!...—szepnął stary z cichym chichotem, od którego rozbiegły się wszystkie zmarszczki jego bezkrwistej twarzy.

Stał tak jeszcze, kiedy z wewnętrznego podwórza rozległo się echo miarowego pochodu, a z pod sklepionej bramy wyszło na ulicę kilkunastu żołnierzy z karabinami, którzy, rozstawiwszy się na lewo i na prawo, utworzyli gęsty szpaler. W chwilę potem skle-

pienie zadudniało zmieszanym odgłosem ciężkich, tłumných kroków, a z bramy zaczęli się wysypywać aresztanci, najpierw mężczyźni, potem garstka kobiet. Za kobietami szło jeszcze kilku żołnierzy, a na ostatku oficer z obnażonym pałaszem w ręku. Była to partya pędzonych na Sybir skazańców.

Kiedy wyszli, stojące szpalerem wojsko otoczyło ich dokoła i zaczęło się szykować „w pochód.“

Nie było to łatwem. Aresztanci, jak dzieci, szturchali się, ociągali, popychali, przypatrując się to skaczącym po ulicy wróblom, to kwiatom, których woń wciągnęli nosami hałaśliwie, kichając przytem jakby na komendę.

Jeden z nich stroił żarciki z trzęsącego się starowiny, namawiając go na wspólną „fajdę,“ inny śmiał się idyotycznym, przykrym śmiechem, nie mogąc, czy nie chcąc stanąć prosto w linii. Niektórzy, już ustawieni, odwracali się z konceptami do kobiet i znów psuli porządek, a jakiś dowcipniś zgarniał niby całą garścią łzy z poźółkiej twarzy i ciskał je z rozmachem o ziemię, szlochając na różne tony.

Kilku tylko zachowywało się spokojnie lub z apatyczną obojętnością. Oficer — szczupły, delikatny młodzieńczyk — kłął, czerwienił się, zgrzytał, przebiegał z jednej strony kolumny na drugą, usiłując zaprowadzić ład w tem zamieszaniu, ale mu się to jakoś długo nie udawało.

Tymczasem wschodzące słońce rzuciło na przeciwległe mury pierwsze złote blaski. Jeden z milczących aresztantów odkrył głowę i przeżegnał się. Kilku innych uczyniło toż samo, reszta ucichła. Wtedy oficer zakomenderował i ruszono naprzód.

Przed Arsenalem został tylko podwórzowy kundel, na którego długo oglądał się jeden z pędzonych, i stary odźwierny, który chwilę stał, patrząc za nimi i trzęsąc głową siwą, aż kiedy w jednym ze staromiejskich kościołów zabrzmiała sygnaturka, zawrócił się i, szepcząc pacierze, podreptał do swojej komórki.

Ulice były jeszcze puste. Gdzieś tam tylko otwierała się skrzypiąca brama, a w niej stawał stróż z miotłą w ręku i przypatrywał się pędzonej partyi; gdzieś tam wozy z pieczywem dudniały głucho, a śpieszące do miasta mleczarki szły po dwie, po trzy, z uwiązauemi na plecach koszami.

Niektórzy z więźniów spoglądali w okna kamienic, ale okna te były zamknięte i puste. W miarę pochodu coraz ciszej robiło się w gromadce skazańców; zrazu odezwał się ten i ów, potem jakaś zaduma ogarnęła ich wszystkich z wolna.

Wyszli na Zjazd. Przed nimi cała w złotych i różowych ogniach wschodu toczyła się Wisła — matka, marszcząc lekko wysokie, wiosenne swe wody; drobne mewki z szeroko rozpostartemi skrzydłami uderzały w nią białą pierśią, nagle, błyskawicznie, jakby strzały srebrne, na przeciwnym brzegu śmiała się zieleń majowa. Gdy weszli na most, który się rozciągał przed nimi długą, ciemną perspektywą swoich krat żelaznych, oficer skinął pałaszem, żołnierze otoczyli ściślej aresztantów, a ozłocone słońcem bagnety błysnęły tuż nad nimi. Ten i ów spuścił głowę i szedł w milczeniu; kobiety oglądały się za siebie na silnie odcięte od błękitu wieże kościelne i dachy miejskie, wzdychając i bijąc się w piersi. Kilka

z nich szlochało zeicha. A wysoki brzeg wiślany od strony miasta powiewał za nimi białemi płachtami dymów, jakby ich żegnając, a nadwodne jaskółki śmigały tuż, tuż, jakby licząc te głowy stracone...

Zaroilo się na „Punkcie zbornym“ za przybyciem więźniów. Przedewszystkiem rozdzielono ich na dwie części: mężczyznu zabrano do kucia, a kobiety zapędzono do kancelaryi, gdzie miały być zapisane w księgę.

Niewiele ich było. Ze sześć coś, czy ze siedem, wszystkie odziane w siwe więzienne kaftany i takież spódnice.

Pierwszą, jaką z kolei zapisywano w księgę, była Blacharżówna. Ostatnie wypadki znacznie ją zmieniły. Było to jakby widmo tej dawnej, pięknej dziewczyny, do której się paliły oczy pana sekretarza. Wychudzona jej postać zdawała się wyższą i prostsza, zczerniałe wargi nie zakrywały już białych, błyskających wpośród śniadej twarzy zębów, na pośótkiem czole zarysowała się bruzda głęboka, jakby od nagłego, wyteżonego rozbudzenia myśli, a wielkie, nieruchome źrenice patrzyły przed siebie z przerażeniem i jakąś nieopisaną zgrozą.

Kiedy służbowy oficer głośno jej nazwisko przeczytał, a dziewczyna wystąpiła z gromadki na środek sali, pisarek, który, ćmiąc papierosa, stał w progu drugiej izby, obrócił się nagle i spojrzał jej w oczy.

Dziewczyna spojrzała także i targnęła się gwałtownie w tył, jakby do ucieczki. Nie uciekla wszakże, a dzikie jej oczy, zawieszzone z jakąś chciwością na twarzy pisarka, przygasły i zaszły mgłą wilgotną.

Mimowolnym ruchem podniosła wychudłe ręce do ostrzyżonych włosów, które przykrywał więzienny czepiec biały, a na jej twarz wybiły ciemne rumieńce z pod serca gdzieś, z ostatka krwi żywiącej. Opuściła pociemniałe powieki w jakimś zawstydzeniu głębokiem i stała tak, — widmo, wywleczone po trzykroć z więzienia i mogące się jeszcze rumienić.

Tymczasem pisarek zadarł wysoko nosa, wydał policzki i przeszedł tuż koło niej, skrzypiąc świecącymi butami i puszczając jej kłęb dymu w twarz samą. Taką miał minę, jakby chciał pokazać, że się niczego nie boi. Istotnie, czego się miał bać?...

Hanka stała ze schyloną głową, usta jej drżały, a siwy kubrak aresztancki podnosił się i opadał szybko na jej wyschłej piersi. Nie śmiała teraz spojrzeć, gdy przechodził tak blisko, że się prawie otarł o nią, ale poznała go, tak jak i on ją poznał. Był to Piotr, pan Piotr, eks-kochanek dziewczyny, piękny i słuszny kawaler w wiosennej zakietce i niedbale związanym krawacie.

Tuż przy Hance stała Mańka Czerkas, po ostatniej ucieczce z pobytu znowu u Bambłowej chwyconą. Nie miała ona już na sobie swojej różowej sukni, ani rozpiętego do połowy stanika, tylko ciężką, burą spódnicę więzienną i wielki kaftan, pod którym ginęły jej gibkie biodra i ledwo rozwinięta piers drobna. Piękne jej grube warkocze spadły pad nożyczkami w Arsenale, a biały płócienny czepiec wchodził jej głęboko na czoło, odkrywając z tyłu złote kosmyki wijących się po karku włosów. Dziewczyna wsunęła ręce w rękawy i przestępowała z nogi na nogę, jakby ustać nie mogąc w grubym aresztanckim obuwiu.

W zmizerowanej jej twarzy nie było widać skruchy, ani żalu. Przestrach tylko malował się chwilami w zamglonych, po izbie całej biegających oczach.

— Hanusia, siostrzyczko!—szepnęła do stojącej obok siebie Blacharzówny.—Jak Bożę kocham, tak wszystkiemu ta Walera winna. Żeby ona z piekła nie wyrzała!... Jak ci się zjednała z łapaczami, tak nie było nijakiego odporu. Po wszystkich dziurach ci przewąchiwała, gdzie ino która. Żeby nie ona, piekielnica, tobym do dziś dnia u Bamblowej siedziała. Ale jak ci ten Calik, choroba, zaczął za mną latać, tak ci się Walera rozżarła, że strach...

Hanka patrzyła przed siebie, jakby nie słysząc Mańki.

W tej chwili właśnie powracał od progno pan Piotr, a dziewczynie zdawało się, że ziemia się rozstępuje pod nią.

— A i Bamblowa szelma—szeptała dalej Mańka.—To ci powiadam, siostrzyczko, głodziła mnie babę, zamykała, pókim jej rubla dziennie nie oddała. A z kąd mnie ruble zaraz brać? Albo mi to rublami kto sypał?... A tu, żeby ci nie wiem jak, to ani się gdzie posięgnąć bez meldunku. A o tym zegarku, Hanusia, nieprawda!... Żeby tak zaraz trupem padła, jak nie łzę... Papierek mu ino wyciągnęłam z kieszeni, żeby babie gębę zatkać... A Walera zaraz ci się wysforowała... Jakem ci ją zobaczyła, fiut!... Gęba taka... kołnierz u kaftana -aksamitny, spódnica z falbaną... Ino szur, szur... ani do niej przystępu... Choroba!...

Umiłła na chwilę i zakaszła się mocno.

— A niech ta! Tyle ich tego, co mnie wzięli. Albo ich tam mało inszych zostało? Julka Mikusówna już blisko rok siedzi, ady siedzi.

Urwala, bo zapisywano ostatnią aresztantkę. Musiały jednak czekać dość długo, zanim zakuto i wyprowadzono mężczyzn.

Przez godzinę może albo i dłużej słychać było miarowe uderzenia młotów, aż wreszcie skończono robotę, a w sieniach rozległy się brzęki wleczonego po podłodze żelaztwa. Parami szli teraz skazańcy — po dwóch wspólnym łańcuchem na ręce zakuci; prócz tego każdy miał na nogach osobne, na wyłączny swój użytek przeznaczone kajdany.

Byli to ci sami nędznicy, których czasem widzieć można prowadzonych przez ulice miasta w siwych więziennych kapotach, w szerokich, płóciennych, wokół wychudzonych nóg wiewających spodniach, z pogolonemi głowami, w okrągłych bez daszków czapkach, które jednym sterczą na czubku nieregularnych, guzowatych czaszek, innym wpadają głęboko na wąskie, klinowate czoła, aż po latające, lub martwe, osłupiałe oczy.

Były to same twarze zuędniałe, obrzękłe lub przyschłe do kości, z surową, ziemistą cerą, na które patrzymy z ciekawością, wstrętem lub przestraczem, gdy nam migną na jakimś zakręcie wpośród czterech karabinów, idiotycznie tępe lub wykrzywione cynicznie. Tak, byli to ci sami nędznicy.

Tylko że teraz na tych twarzach odbił się szczególny wyraz. Idiotyczna tępość ustąpiła płaczliwemu przestraczowi, a cynizm — zaciętości ponurej.

Paru zaledwie z zakutych miało spokój i powagę na twarzy. Wyszli oni pierwsi, krokiem pewnym, równym, bledsi tylko nieco, niż kiedy ich tu przypędzono.

Oficer wydał rozkaz i zaczęto aresztantów ustawiać w kolumnę.

Podniósł się wtedy płacz i lament wpośród tych, co tu przyszedli, aby pędzonych pożegnać i opatrzeć czem kto mógł na drogę.

Najbliżej kobiet podszełt obdarty nędzarz z pijacką twarzą i zamglonym wzrokiem. Wyłysiała jego głowa, nad której uszami tylko sterczały kępki spłowiałych włosów, trzęsła się na długiej, cienkiej szyi; nogi pod nim drżały, a jakieś wewnętrzne łkania wstrząsały mu piersi, skryte brudną i porozrywaną koszulą. Trzymał on za ręce dwie wychudzone i bose dziewczynki, których jasne dziecięce oczy patrzyły dokoła z dziwem i ze strachem.

Przenikliwy krzyk wybiegł z gromadki kobiet na widok tych dzieci. Był to krzyk Michałakowej która nawpół oszalała rzuciła się do nich, a kiedy ją żołnierz odepchnął, na ziemię padła i nieludzkim wybuchnęła rykiem.

— Mama... mama...—odezwwały się cienkie głosy dziewczątek.—Czy mama znów odchodzi?

Nędzny pijak silniej jeszcze trząść się zaczął, a po jego nieogolonej twarzy toczyły się łyzy grube i ginęły w szczeciuiastej brodzie.

Kolumnę formowano z pośpiechem. Ci, co przyszedli, zaledwie mieli czas oddać zawiniątka z chlebem, z bielizną, przemówić dwa słowa, uśmiechnąć się, pożegnać.

Ci, których nikt nie żegnał, udawali obojętność, lub patrzyli ponuro w ziemię.

Jeden z młodych skazańców odwrócił się od matki, która go żegnać przyszła i, zacisnąwszy zęby, kłął przez nie. Inny sam do pośpiechu naglił. Największa część zachowywała się apatycznie, kobiety szlochały.

W otwartych oknach, we drzwiach kancelaryi cisnęli się ciekawi. Pomiędzy nimi stał z bezczelną twarzą i papierosem w zębach pan pisarek, robiąc głośne uwagi o stojących w kolumnie dziewczętach i zerkając ku Hance. Właśnie musiał coś dowcipnego powiedzieć, bo cała kupka jego słuchaczy wybuchnęła wesołym śmiechem, kiedy nagle Mańka Czerkas obejrzała się i, ujawszy pod boki, pokazała im język jak długi.

Śmiech głośniejszy jeszcze przyjął to zuchwalstwo dziewczyny.

Wtem zaturkotały wozy, na których leżały zawiniątka i siedzieli chorzy więźniowie. Oficer wyszedł przed kolumnę, obejrzał ustawionych, dobył pałasza i zakomenderował.

Uderzono w bęben. Urwany, głuchy odgłos odbił się posępnem echem.

Jeden z więźniów odkrył głowę, inni poszli za jego przykładem.

Wtedy słońce rzuciło się złote całe na te pogolone głowy, rozjaśniając je jakąś tragiczną aureolą, a wśród głębokiej ciszy słyszeć było dzwoniącego w błękitach skowronka.

Ruszono.

Hanka szła pierwsza z pośród garstki kobiet sporym, równym krokiem. Zaciśnięte jej usta nie wydały żadnego jęku, ni westchnienia. Tylko jej twarz męczeńską pokryła śmiertelna sniadłość, a głęboko zapadłe oczy patrzyły przed siebie tępym i zagasłym wzrokiem.

Wielka, hucząca woda zamknęła się ostatnim kręgiem nad jej nędzną głową.

K O N I E C.



W ostatnim kwartale roku 1898, t. j. od 1 października do 31 grudnia, wyszły i rozesłane zostały prenumeratorom „Gazety Polskiej“ następujące dzieła, jako bezpłatne dodatki tygodniowe:

<i>St. Kozłowskiego</i>	„ <i>Taboryci</i> “, dramat w pięciu aktach	tom 1
<i>T. T. Jeża</i>	„ <i>W Zaranu</i> “, powieść.	tomów 3
<i>E. Goncourt'a</i>	„ <i>Bracia Zemgano</i> “	tom 1
<i>T. Padalicy</i>	„ <i>Powieści Ukrainskie</i> “	„ 1
<i>Edm. Hostand'a</i>	„ <i>Cyrano de Bergerac</i> “, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów 2
<i>Ireny Mrozowickiej</i>	„ <i>W płytkim prądzie</i> “	tom 1
<i>Jonasa Lie</i>	„ <i>O Zachodzie</i> “, powieść norweska „	1
<i>Klementyny z Tańskich Hofmanowej</i>	„ <i>Krystyna</i> “	tomów 2
<i>H. Andersen'a</i>	„ <i>Bajki i Opowiadania</i> “	tom 1

Nowi Prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ przybywający od Nowego Roku 1899 otrzymywać mogą komplet tych 13 tomów za rb. 3 z przesyłką pocztową i za rb. 2,40 w Warszawie.